

moja Lesznowola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 grudzień 2016, nr 7

*Czytelnikom
i sympatykom „mojej Lesznowoli”
pięknych Świąt Bożego Narodzenia
i prostej drogi za każdym zakrętem w 2017 roku*

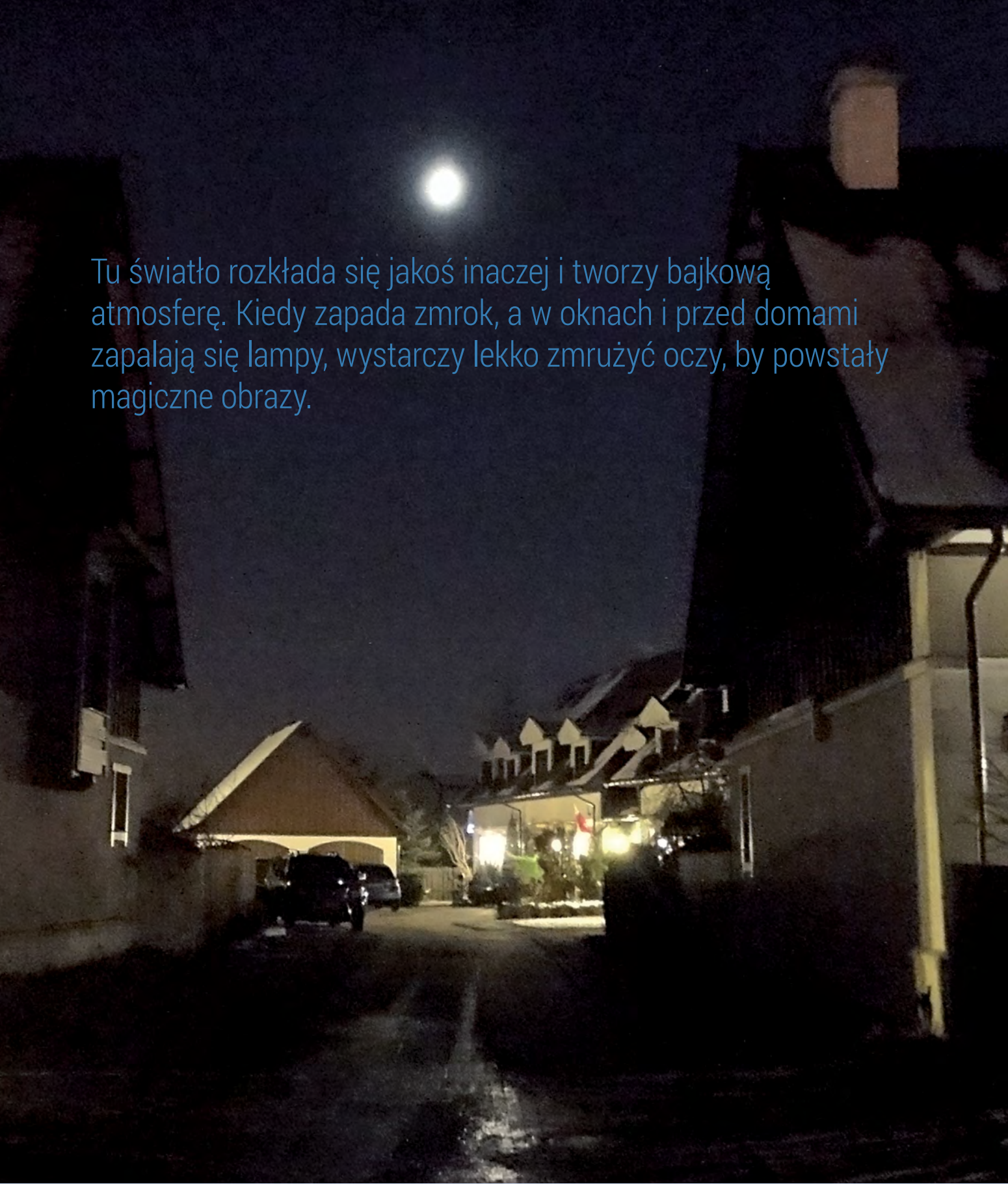
*życzy
Redakcja*



Gmina w obiektywie

Jadąc z Nowej Woli ulicą Krasickiego w stronę przystanku kolejowego w Nowej Iwicznej, wąska droga między murami otwiera świat ulicy Pokrętej. Ulicy szczególnej, prowadzącej do Krzywej Iwicznej.



A night photograph of a residential street. The scene is dimly lit, with a full moon glowing in the dark sky. In the foreground, a dark car is parked in a driveway on the left. In the middle ground, a house with a prominent porch is illuminated by warm, yellow lights, creating a cozy atmosphere. The house has several windows and a small flag on the porch. The street is dark, and the overall mood is quiet and magical.

Tu światło rozkłada się jakoś inaczej i tworzy bajkową atmosferę. Kiedy zapada zmrok, a w oknach i przed domami zapalają się lampy, wystarczy lekko zmrużyć oczy, by powstały magiczne obrazy.



21



7



29



35



26

Spis treści

- 6** Od Redakcji
...ostatni w tym roku numer jest pod znakiem nadchodzących świąt Bożego Narodzenia
- 7** Daleko od domu
...nie zdawałem sobie sprawy, że na misjach tak często myśli się o rodzinie
- 13** Mikołaj od rana do wieczora
...zatrzymał przed urzędem gminy czerwone sanie zaprężone w dwa renifery
- 16** Drzwi otwarte szeroko
...życie jest pełne zaskakujących niespodzianek
- 21** Ach, co to był za zjazd
...w niedzielę były poprawiny, żeby to wszystko wykończyć
- 24** Oddech zimy
...bywa, że czarno-biały obraz ma większą siłę wyrazu niż kolorowy
- 26** Zielone skrzydła anioła
...nad wspólnie zestawionymi stołami unosił się twórczy gwar
- 29** Dwadzieścia tysięcy pingwinów
...każdy potrzebował przynajmniej pół kilo dużych śledzi
- 35** Fajnie poszło
...zabieramy z reguły najbardziej poszkodowanych, najciężej rannych
- 40** Za krótkie życie
...każdy ruch, siła, technika – wychodzi z pracy ciała
- 45** Hej kolęda, kolęda
...dziel się tym, co mam
- 48** Tak pachną święta
...tylko jeden zapach pasuje do takiej scenerii



16



40



45



Od Redakcji

Kończy się rok 2016. Dla nas szczęśliwy, bo na świat przyszła „moja Lesznowola”. Poznaliśmy wielu ciekawych mieszkańców naszej gminy, których w kolejnych numerach Państwu przedstawiliśmy. Jesteśmy pewni, że było warto.

Udało się dotrzymać obietnicy i nie zejść z wytyczonej w pierwszym numerze drogi. Drogi niezwykle prostej i uczciwej. „Poznajmy ludzi, którzy tu mieszkają, którzy mają swoje pasje, mają coś ciekawego do opowiedzenia innym”. Tego będziemy się trzymali nadal.

Ostatni w tym roku numer jest pod znakiem nadchodzących świąt Bożego Narodzenia. Otwieramy go wspomnieniami o wigiliach na wojskowych misjach i niezwykłym rodzinnym zjeździe, jaki się odbył w Lesznowoli przed dwoma laty.

W numerze proponujemy też bardzo ciekawą relację po spotkaniu z dyrektorem warszawskiego ZOO, z pilotem, który wybrał pracę w lotniczym pogotowiu ratunkowym, a także opowieść o wielokrotnym złotym medalistcie w sztukach walki.

Specjalnie chcemy zwrócić uwagę na tekst „Drzwi otwarte szeroko”. Być może zechcą Państwo jeszcze w tym roku te drzwi przekroczyć. Zrobiliśmy to i wiemy, że warto.

Aby całość zamknąć zgrabną klamrą, proponujemy tekst „Hej kolęda, kolęda”. Życzymy Państwu miłej lektury i wielu powodów do radości w 2017 roku.

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski

moja Lesznowola
Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk

ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska

DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2

KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069

Zahartowani w bojach mężczyźni mówią, że podczas wigilii Bożego Narodzenia najbardziej doskwierała im tęsknota za rodzinnym domem. Że nie mogli sobie znaleźć miejsca, dopóki nie zadzwonili do domu, dopóki nie usłyszeli w słuchawce głosu żony, dzieci, rodziców. Słowem najbliższych, z którymi zawsze spędzali ten wieczór.



DALEKO
OD DOMU



Podpułkownika Krzysztofa Klimaszewskiego, radnego z Nowej Iwicznej, nasi Czytelnicy poznali w październikowym numerze „mojej Lesznowoli”, w tekście pt. „Apetyt na lody”.

Ponad trzy lata był na misjach daleko od domu. Na Wzgórzach Golan w Syrii, w Kosowie i w Iraku. Cztery razy w tym czasie wypadły święta Bożego Narodzenia. Raz tylko zdarzyło się tak, że na Sylwestra wrócił do domu. Spotkaliśmy się, by porozmawiać o tym, jak to jest w Wigilię, kiedy człowiek daleko od domu.

Kapusta kiszona

Musimy na wstępie zaznaczyć, że jak mówi Krzysztof Klimaszewski, misja misji nie jest równa. Najgorszymi organizacyjnie są te, które są pierwszymi. Kiedy jeszcze nie ma

nic i trzeba wszystko zorganizować przy jednoczesnej realizacji zadań operacyjno-mandatowych.

Misja na Wzgórzach Golan funkcjonowała już ponad dwadzieścia lat. Wszystko tam było poukładane, unormowane, wszyscy wiedzieli, co mają robić, mieli przydzielone zadania, wiedzieli, kto ma wolne, kto ma służbę. Były określone procedury, dotyczyło się w pewnym sensie normalne, spokojne życie, tyle że bez rodziny.

Te procedury obejmowały również przygotowania do świąt Bożego Narodzenia. Stroną duchową zajmował się kapelan, ksiądz profesor mjr Marek Major, a logistyką świąteczną – logistyk wraz z kierownikiem stołówki i kucharzem.

Łatwo było o produkty na świąteczny stół, ale nie o kapustę kiszoną, która była potrzebna do przygotowa-

nia bigosu. A przecież bigos był naszym narodowym daniem, które musiało się znaleźć na świątecznym stole.

– Wtedy potwierdziło się powiedzenie „Polak potrafi”. W klimacie, w którym kapusty kiszonej nie było, nasi koledzy potrafili błyskawicznie kapustę na święta zakisnąć. Kupowali na bazarze kapustę, szatkowali, przygotowali do zakiszenia, a z beczenną pomocą przychodzili wtedy nasi lekarze, i kiedy kapusta została poszatkowana, dodawali do niej, tak jak do mleka, by uzyskać zsiadłe, odpowiednio bakterie. Tak czy inaczej na święta był bigos z kiszanej kapusty – wspomina Krzysztof Klimaszewski.

– Trzeba powiedzieć, że zawsze na każdej misji na ten świąteczny bigos wojsko czekało.

Na Wzgórzach Golan wszystko było łatwiejsze. Wigilia zaplanowana

na określony dzień, produkty kupione, dania przygotowane, zaproszeni goście z Polski i z dowództwa Sił Naodów Zjednoczonych ds. Nadzoru Rozdzielania Wojsk wraz z dowódcami batalionów austriackiego, kanadyjskiego, plutonu japońskiego oraz obserwatorzy UN w pełnym komplecie. Kapelan wojskowy, opłatek i uroczysta kolacja, oczywiście z dwunastu dań.

Kapelan rozpoczynał wigilię modlitwą, pierwszy życzenia składał dowódca, a potem wszyscy sobie składali życzenia. Panował spokój. Świąteczna atmosfera. Wiadomo było, że nic nie może się nadzwyczajnego zdarzyć.

Potem większość ustawiała się w kolejki przy telefonach, aby połączyć się z rodziną i tych kilka minut poświęcić na życzenia i bycie przez chwilę razem, mimo 2,5 tysiąca kilometrów dzielących od domu.

Obchodziliśmy najbardziej rodzinne święta z dala od rodziny. W samotności. Niby wokół byli koledzy, grono zaprzyjaźnione, własne, ale nie było rodziny, z którą by człowiek najchętniej posiedział i najmilej spędził świąteczny czas. Moje dzieci miały wtedy dziesięć i jedenaście lat.

Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że na misjach tak często myśli się o rodzinie.



...kapelan ppłk. Mariusz Stolarczyk prosi o krótką modlitwę za tych, co od nas odeszli.

Polska strefa nadzoru

– Pod koniec czerwca 1999 roku z Polski przez Słowację, Węgry, Rumunię i Bułgarię do Macedonii ponad ośmiuset żołnierzy z 18. batalionu desantowo-szturmowego z Bielska Białej kilkoma transportami kolejowymi wraz z bronią i sprzętem przemieszczało się przez kilka dni. Upał, brak wody, suche racje żywnościowe. Częste postoje w słońcu. Problemy na granicach. Dotarliśmy wreszcie do Skopje, a stamtąd już na kołach, sukcesywnie przemieszczaliśmy się do Raki, miejsca wskazanego w Kosowie przez Amerykanów jako miejsce naszej bazy.

Przez pierwsze miesiące budowania poszczególnych obozów żołnierze na śniadanie, obiad i kolację mieli konserwy. Raz na zimno, raz na ciepło. Kucharze mieli do dyspozycji trzy kuchnie polowe i posiłki gotowali w baniakach.

Kiedy nastały deszcze, wszystko stało w gigantycznym błocie i w powiększających się z każdym dniem kałużach. Ludzie byli przemoknięci do suchej nitki. Nic nie schło. Czasem człowiek siadał, patrzył na ten lejący z nieba deszcz, na swój

przemoknięty na wylot mundur i pytał samego siebie: „Co ja tu robię? Po co tu przyjechałem? Za jakie grzechy?” A deszcz padał i padał. Przenikliwie zimno i ta wilgoć były nie do zniesienia. Nie trzeba było chodzić do łaźni, bo wody mieliśmy i tak po uszy. Zresztą łaźnia, to wielkie słowo. Do naszej łaźni, która funkcjonowała codziennie, jednorazowo mogło wejść dziesięciu chłopów, a reszta musiała czekać. Kompanie odkładały „wizytę” w łaźni nawet po kilka dni. Prawdę powiedziawszy, to i wody na początku nie było.

Jak dziś pomyślę, jak to było, to nie wiem: śmiać się czy płakać. Woda potrzebna była nie tylko do mycia. Musiały przecież działać ubikacje. Nim powstały, kopaliśmy w lasach doły, ustawialiśmy drągi i to były nasze toi-toiki.

Dopiero później zaczęło się utwardzanie terenu, robienie jakichś pomostów, zaczęto ściągać kontenery. Mówię tu o kontenerach do mieszkania, toaletach czy kontenerach sanitarnych z prysznicami, pralkami itp.

Wojsko spało w namiotach, które gdy skończyło się lato, przemarzały. Stołówka została otwarta w grudniu, na przyjazd Prezydenta RP Alek-





sandra Kwaśniewskiego. Po pół roku koczowniczego życia zaopatrzeniem naszego batalionu zajęła się komórka logistyczna zakwaterowana w Skopje i zaczęło się lepsze życie. Skończyły się spartańskie warunki.

Kuchnia otrzymywała świeże pieczywo, warzywa, owoce, mięso. Mówię o tym wszystkim dlatego, żeby pokazać tę gigantyczną różnicę między misją na Wzgórzach Golan, a tą w Kosowie.

Tu żyliśmy każdym dniem na bieżąco. Tu i teraz. Amerykanie przekazali nam pieczę nad strefą dwunarodowościową, nad enklawą serbską i częścią albańską. Nie była to strefa spokoju.

Serbowie i Albańczycy, a także UÇK (Armia Wyzwolenia Kosowa) – zbrojna organizacja działająca na terenie Kosowa, nie dali nam spać spokojnie. Bez przerwy słychać było huk wystrzałów, w nocy niebo przesywały smugowe pociski, widać było łuny pożarów. A my, odpowiedzialni za spójność w strefie i za bezpieczeństwo ludności cywilnej i żołnierzy, musieliśmy reagować – mówi Krzysztof Klimaszewski.

Warto przypomnieć, że Kosowo było w Jugosławii. Kiedy skończyła się Jugosławia, i Serbowie, i Albańczycy rościli sobie prawa do „swojej narodowościowej kolebki”, za którą i jedni, i drudzy uważali Kosowo.

Przed przystąpieniem do wojny Kosowo zamieszkiwało 80 procent Serbów, a tylko 20 procent Albańczyków. W czasie wojny Serbowie przegnali Albańczyków z Kosowa, ale gdy do strefy wkroczyły wojska NATO, Albańczycy zaczęli wracać. Wróciło nie tych dwieście tysięcy



wypędzonych, tylko dwa miliony ludzi.

Nikt nie był w stanie tego skontrolować, kto wraca do domu, a kto nie, bo ludzie nie mieli dokumentów, tłumaczyli, że wszystko się spaliło, że im Serbowie zabrali itp.

Albańczycy brali odwet na Serbach. Zabijali, wyginali z domów, palili domy, rabowali. Słowem – jeden wielki młyn, nad którym musieli zapanować nasi żołnierze. Proporcje zaczynały się odwracać. Teraz to większość Albańczyków była w Kosowie, a Serbowie zajmowali maleńkie, wydzielone enklawy, których trzeba było pilnować. Trzeba było strzec, bo Albańczycy, a także członkowie UÇK wyciągali ich z domów, porywali i zabijali.

Wyjeżdżaliśmy na misję przekonani, że za całe zło tam w Kosowie są odpowiedzialni Serbowie. Taka była oficjalna linia propagandowa. Serbowie zaś byli przekonani, że wojska NATO, a więc i polski batalion, były tam po to, by pomagać Albańczykom. Obie strony krzywo na siebie patrzyły.

Nędza i bieda

– Kiedy przyjechaliśmy do Kosowa, mieliśmy wrażenie, że w serbskich enklawach jest dokładnie tak, jak u nas w czasie stanu wojennego. W sklepach naszych był ocet, u nich rakija i nic ponad to. Nędza i bieda. Dookoła Albańczycy i żadnej możliwości przewiezienia czegokolwiek z zewnątrz. Żadnej możliwości dostania się do następnej serbskiej enklawy odległej o jakieś siedemdziesiąt kilometrów. Kompletna izolacja. Kto się wychylił, odważył opuścić enklawę, ginął.

Za granicą enklawy, u Albańczyków raj. W sklepach jak dziś w naszych supermarketach. Na bazarach dosłownie wszystko do kupienia. Szła pomoc dla Albańczyków z Europy. Na wielką skalę był rozwinięty szmugiel. Lady i półki uginały się pod towarami. Pod żywnością i odzieżą.

Dlaczego tak było? Bo Armia Wyzwolenia Kosowa miała w tym swój biznes, bo nikt nie był w stanie tego wszystkiego skontrolować. Cała Europa pomagała Albańczykom.



Cały czas szły transporty z żywnością, odzieżą, materiałami budowlanymi tylko dla nich. Budowali się szybko. Rządzili.

Na terenie objętym naszym nadzorem, w serbskiej enklawie, była tylko jedna stacja benzynowa, w której litr ropy kosztował cztery marki, podczas gdy dwanaście kilometrów dalej, u Albańczyków, kosztował tylko siedemdziesiąt fenigów. Takie były dysproporcje.

Serbowie zamknięci w enklawach nie mieli żadnej pracy, nie mieli emerytur, nie mieli środków do życia, bo i Serbia na początku odwróciła się do nich plecami, uznając za zdrajców, którzy nie obronili ojczyzny. Z upływem czasu sytuacja zaczęła się poprawiać. Przyszła duża pomoc od polskiego Caritasu. Serbowie zostali ubrani i nakarmieni. Od skarpet przez koszule, swetry, kurtki zimowe i obuwie po konserwy mięsne. Ta darmowa pomoc pozytywnie wpłynęła na stosunki między naszymi żołnierzami i Serbami.

W tym rejonie, w codziennych

kontaktach z Serbami, narodził się Kris. Łatwiej było Serbom wymawiać „Kris” niż Krzysztof. I tak do końca misji zostało.

Do naszej strefy przyjeżdżali w konwojach Serbowie, by spotkać się z rodzicami, których od paru lat nie widzieli. Chcieli się zobaczyć z rodziną, zobaczyć, co zostało z ich domów i czy jeszcze mają do czego wracać. Dlatego, kiedy załatwiali formalności w Belgradzie, mówiono im, by w naszej strefie szukali majora Krisa i do niego zwracali się o pomoc – i pomagałem. Często kosztem własnego wolnego czasu i bezpieczeństwa. Przyniosło to bardzo istotne korzyści. Zdobyty wśród Serbów autorytet w wielu przypadkach miał wpływ na pokojowe rozwiązywanie codziennych problemów. Pomagał nie tylko w negocjacjach na kosowskich barykadach.

Pamiętam, siedziałem kiedyś z jakimś Serbem i podeszła do nas kobieta. Powiedziała do mnie, że szuka majora Krisa. Jest jego znajomą i koniecznie musi się z nim zobaczyć.

– A pani zna majora Krisa? – zapytałem. – Oczywiście, to mój dobry znajomy – odpowiedziała. – To proszę iść do bazy, tam pani powiedzą, gdzie go szukać.

Poszła, pyta spotkanych w bazie ukraińskich żołnierzy, gdzie jest major Kris, a oni mówią: – No przecież pani z nim rozmawiała. To ten, co tam siedzi. – Wróciła speszona i poprosiła, bym jej pomógł odnaleźć rodziców, których kilka lat już nie widziała.

Podobno po czterech latach od naszego wyjazdu mówiono, że gdybym kandydował w lokalnych wyborach w Strpc, serbskiej enklawy w Kosowie, wygrałbym bez większych problemów. Dobrze, że wyjechałem – śmieje się nasz rozmówca.

Smutne święta

– Święta Bożego Narodzenia na misji w Kosowie były pod znakiem otwarcia stołówki. Przez sześć miesięcy od przyjazdu wiele się zmieniło. Baza się rozbudowała, umocniła, okrzepła. Do Kosowa jeździły autobusy, a kiszoną kapustę na świąteczny bigos i wędliny można było przywieźć z Polski.

Grzyby na wigilię przyleciały prosto z Polski. Ryby i kapusta też. O opłatek zadbał nasz kapelan mjr. Marek Strzelecki. Na wigilijnym stole niczego nie brakowało. To, czego w wigilię i święta brakowało, to pewności, że nic się nie wydarzy, bo w Kosowie wszystko w każdej chwili mogło się wydarzyć.

Nadal płonęły podpalane przez Albańczyków serbskie domy. Płonęły domy Albańczyków okradane i podpalane przez Albańczyków,



...nie zdawałem sobie sprawy, że na misjach tak często myśli się o rodzinie.



podejrzewających swoich o współpracę albo z Serbami, albo z wojskami KFOR. Płonęły domy Serbów podpalane przez Armię Wyzwolenia Kosowa. Na początku grudnia zginął ppłk Zbigniew Wydrych z Warszawy i kilku żołnierzy zostało rannych. Major szykował się na wyjazd do domu na święta.

Po życzeniach i wigilii rozeszliśmy się do swoich kwater. Kto mógł zasnąć, poszedł spać. Kto myślał o domu, zasnąć nie mógł. Jeśli było spokojnie, niektórzy szli na Pasterkę.

W Iraku, jak w Kosowie, okres przedświąteczny niespokojny. Kucharze robią, co mogą, aby stół wigilijny był podobny do domowego. Niestety nie jest za bogato. Uroczysta kolacja na stojąco.

Podczas życzeń przez chwilę na twarzach pojawiają się uśmiechy. Na koniec kapelan ppłk Mariusz Stolarczyk prosi o krótką modlitwę za tych, co od nas odeszli.

W listopadzie w zasadzce zginął mjr. Hieronim Kupeczyk, a 22 grudnia, w wyniku nieostrożnego obchodzenia się z bronią, śmiertelnie postrzelony został kpr. Gerard Wasilewski. Pasterka i smutne święta.

W Iraku przez dłuższy okres pierwszej zmiany kontakt z rodziną był ograniczony. Życzenia składaliśmy, dzwoniąc do jednej z wojskowych baz w USA, i Amerykanie łączyli nas z Polską. Każdy już myślał, aby szczęśliwie wytrwać jeszcze miesiąc, bo pod koniec stycznia przewidziana była rotacja do kraju i przyjazd drugiej zmiany. ■



MIKOŁAJ

od rana...



...do wieczora





Już jest. Przyjechał trochę wcześniej. Tuż przed swoimi imieninami zatrzymał przed urzędem gminy czerwone sanie zaprzężone w dwa renifery. Zabrał ze sobą dwóch pomocników i na wszelki wypadek przywiózł śnieg, którego akurat tego dnia w Lesznówoli było niewiele. Mikołaj, mknąc po Mlecznej Drodze, wyruszył z Zakopanego, gdzie razem z reniferami sprowadzonymi z Finlandii mieszka przez resztę roku. Kiedy zbliża się okres przedświąteczny, zaczyna podróż po Polsce. Na renifery w gminie czekała zagroda i piękna choinka.

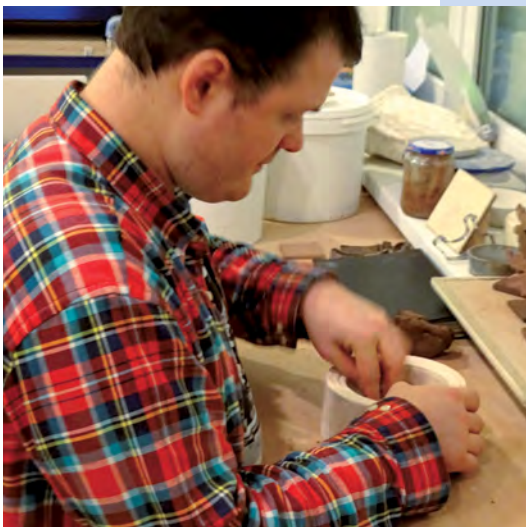
Od rana do zmierzchu Mikołaj czekał na dzieci i... dorosłych. Były worki cukierków i pamiątkowe zdjęcia. Były tradycyjne pytania: „Czy byliście grzeczni?” i odpowiedzi zawsze twierdzące. Pomocnicy Mikołaja uwijali się, jak na zawodowców przystało, a renifery ze stoickim spokojem żuły paszę, specjalnie przywiezioną z Finlandii.

Mimo chłodu było gorąco, bo spotkanie z Mikołajem zawsze powoduje szybsze serca bicie. ■



Tytuł mówi całą prawdę. Jest taka pracownia w Wilczej Górze, do której drzwi są zawsze szeroko otwarte. Powstają w niej rzeczy niepowtarzalne, różne. Wytwarzane ręcznie przez ludzi dotkniętych autyzmem. Byliśmy tam. Patrzyliśmy, jak pod czujnym okiem trenerów z Fundacji SYNAPSIS wykonują oni proste czynności i pracują. Tu jest ich świat. Rozmawialiśmy z kierownikiem programu „Autyzm – System XXI”, panią Marią Wroniszewską, żoną jednego z założycieli fundacji SYNAPSIS – Michała Wroniszewskiego.





O tym, że życie jest pełne zaskakujących niespodzianek, wie każdy. Nie każdy jednak potrafi z przykrych niespodzianek wyciągać wnioski. A zupełnie niewielu w takich sytuacjach potrafi myśleć nie tylko o sobie, swoim przypadku i swoim nieszczęściu, ale także o tym, jak przykre doświadczenie wykorzystać, by pomóc innym.

Michał Wroniszewski, specjalista psychiatra, i jego przyjaciel, psychoterapeuta Ryszard Praszkiern należą do tej właśnie grupy nielicznych. Obaj panowie w 1989 roku, w pierwszym możliwym momencie po odzyskaniu wolności i zmianach ustrojowych w Polsce, założyli Fundację SYNAPSIS. Obaj byli jej fundatorami. Założyli fundację, która miała pomagać niepełnosprawnym dzieciom i ich rodzicom. Jeszcze wtedy nie sądzili, że swoją działalność skierują głównie na osoby dotknięte autyzmem, ale jak już powiedzieliśmy, życie jest pełne niespodzianek. Państwo Wroniszewscy mieli syna, który w 1989 roku kończył siedem lat. Dominik jest autystyczny.

HISTORIA CAŁKIEM PRYWATNA

Wielu rodziców nawet nie przypuszcza, że ich dziecko może być dotknięte tym zaburzeniem. Dziecko z początku rozwija się normalnie, a potem, ku zaskoczeniu rodziców, powoli zaczyna rozwijać się inaczej. Uniektórych dzieci jest nawet regres, co oznacza, że w wieku półtora roku czy dwóch lat już coś mówiły, patrzyły w oczy, a potem nagle się wycofują. Patrzą i nie widzą. Nie reagują, nie kontaktują, przestają mówić.

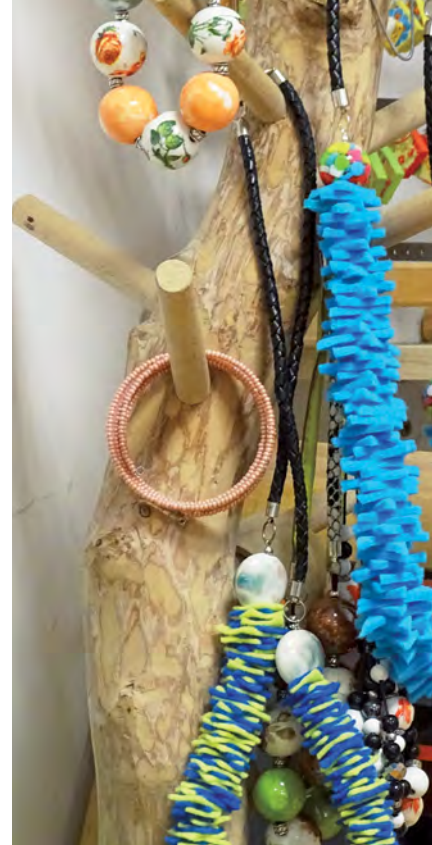
Z Dominkiem, najmłodszym synem państwa Wroniszewskich, było inaczej. Dominik urodził się w 1982 roku i nic nie wskazywało na to, że może mieć tego typu kłopoty.

– Ponieważ w ciąży zachorowałam na różyczkę – wspomina pani Maria – spodziewaliśmy się, że dziecko może mieć jakieś wady rozwojowe. Że może nie słyszeć dobrze albo mieć zaburzenia wzroku czy być niewidome.

Nie przychodziło nam do głowy, że może być autystyczne, aczkolwiek potem już z literatury dowiedzieliśmy się, że różyczka może być też jedną z przyczyn powodujących autyzm. Zaczęliśmy się uważnie przyglądać rozwojowi Dominika.

Na początku robił wrażenie słabszego i wiązaliśmy to z rozpoznaną już w trzeciej dobie jego życia wadą serca. Ale gdy miał około roku, mój ojciec, czyli jego dziadek, powiedział: „Słuchaj, on w ogóle nie zwraca uwagi, jak ja do niego mówię. Zbadajcie, czy on ma słuch w porządku”. Pojechaliśmy do audiologów i zaczęliśmy badać.

Mowa była dla niego niezrozumiała, wszystko było za głośne. Uciekał od tych dźwięków do takiego stopnia, że zachowywał się jak dziecko niesłyszące. Pierwszą reakcją było to, że dostał aparat słuchowy. To jednak nie było dobre posunięcie, choć nam się wtedy wydawało, że słuszne. Dominik był nadwrażliwy słuchowo, a aparat jeszcze mu wzmacniał dźwięki. Cały czas chodził i wy-



...wielu rodziców nawet nie przypuszcza, że ich dziecko może być dotknięte tym zaburzeniem.

łączał aparat. Po kilku miesiącach postawiono diagnozę, że to jednak autyzm.

O autyzmie wtedy nikt nic nie wiedział. Pamiętajmy, że było to zaledwie po stanie wojennym. Niewiele wiadomo było na temat terapii, nie było żadnych możliwości kontaktów z Zachodem, nie było w Polsce żadnej literatury na ten temat. Porównując z dzisiejszą sytuacją – to jest jak niebo i ziemia.

Zaczęliśmy szukać jakichś możliwości, ale początkowo wyjazdy nie wchodziły w grę. Udało nam się wyjechać i szukać pomocy na Zachodzie, dopiero jak Dominik skończył pięć lat. Teraz, patrząc na to, co można zrobić z dzieckiem rocznym, dwu-, trzyletnim, wiemy, że umknął mu ten cały okres, kiedy najwięcej można było zrobić. Wkroczyliśmy z różnymi metodami i prowadziliśmy intensywną terapię. To na pewno mu pomogło, ale nie odwróciło pewnych tendencji.

Dominik nie mówi. Ma też kłopoty z tym, że nie może się porozumieć bezpośrednio. Czasem się denerwuje, że ktoś go nie rozumie albo że on czegoś nie może wyrazić i czasami dochodzi do trudnych sytuacji. Aczkolwiek jest osobą bardzo ciekawą świata, która lubi nowości, lubi być wśród ludzi. Różne bariery, które wiążą się z autyzmem – np. takie, że te osoby nie chcą być wśród ludzi i nie chcą kontaktu – zdołaliśmy pokonać. To na pewno i jemu, i nam daje satysfakcję. Ale rozwojowo pewnych rzeczy już się nie dało nadrobić.

NASZA SPECJALIZACJA

Doświadczenie z chorobą dziecka było impulsem do szerszego spojrzenia na problem. W 1989 roku Dominik szedł do szkoły. Z uwagi na poziom zaburzeń autystycznych wiadomo było, że do takiej zwykłej szkoły pójść nie może, bo nie da rady. Wtedy powstawała szkoła specjalna w Warszawie, tworzona w ramach Społecznego Towarzy-

stwa Oświatowego, i Dominik do tej szkoły poszedł.

To była jedna z pierwszych szkół, która przyjmowała dzieci autystyczne. W tej szkole państwo Wroniszewscy zaczęli działać. Jednocześnie pan doktor Wroniszewski rozwijał diagnostykę, konsultacje i terapię dla dzieci z całej Polski, a także działalność szkoleniową w ramach Fundacji SYNAPSIS.

Pierwsza oferta była dla dzieci z różnymi niepełnosprawnościami, ale szybko się okazało, że inni rodzice znajdują pomoc w innych ośrodkach. Była szkoła dla uczniów niesłyszących przy Placu Trzech Krzyży, Zakład dla Niewidomych w Laskach. Tam rodzice mogli znaleźć jakieś oparcie. Natomiast rodzice dzieci z autyzmem nie mieli gdzie się zwrócić. A to była przecież już specjalność państwa Wroniszewskich.

Mieli autystyczne dziecko, pan doktor był psychiatrą, zaczęli jeździć na Zachód i uczyć się różnych metod postępowania. Fundacja zaczęła się zajmować tylko autyzmem.

Teraz zajmuje się autyzmem i przypadkami, kiedy dzieci oprócz autyzmu mają inne niepełnosprawności: czyli są autystyczne i niewidome albo autystyczne i niesłyszące, albo autystyczne z epilepsją. Ale autyzm jest na pierwszym planie. Ponieważ dzieci rosły, kierownictwo fundacji doszło do wniosku, że z pewnym wyprzedzeniem musi się zająć też ich dorosłością.

DROGA DO WILCZEJ GÓRY

Życie, jak się okazuje, nie tylko zaskakuje, ale pisze też scenariusze zdarzeń. Jedną z propozycji zakupu działki pod Warszawą była z Wilczej Góry.

– Pamiętam, był to chyba koniec 1999 roku albo początek 2000. Zwróciliśmy się do pani wójt Marii Jolanty Batyckiej-Wąsik i przedstawiliśmy naszą propozycję. Propozycja spotkała się z zainteresowaniem, ale że byliśmy ludźmi spoza gminy, pani wójt powiedziała, że byłoby dobrze, aby odbyły się konsultacje na ten temat z mieszkańcami.

Spotkaliśmy się na zebraniu w świetlicy we Władysławowie. Przyszło wielu mieszkańców, a ponieważ o autyzmie mało kto coś wiedział, staraliśmy się wytłumaczyć, o co nam chodzi, jakie są osoby autystyczne, z czym to się wiąże.

Obaw było bardzo dużo. Ludzie się bali. I nie wiem, czy byśmy się spotkali z akceptacją mieszkańców, ale odezwała się jakaś pani i powiedziała, że ona wcześniej mieszkała w Warszawie przez płot ze szkołą społeczną, do której chodziły dzieci autystyczne. Powiedziała, że nie widzi żadnych zagrożeń, bo miała przez lata za sąsiadów i dzieci, i młodzież z upośledzeniem umysłowym i z autyzmem i że to byli najlepsi sąsiedzi. Żadnych burd, żadnego alkoholu i żadnych papierosów, bo oni tego nie używają. I że te obawy są zupełnie nieuzasadnione, i żeby się tego nie bać.

Jej głos okazał się najskuteczniejszy. Potem dołączyły się inne głosy. Że siostry tu prowadzą ośrodek dla osób niepełnosprawnych intelektualnie i to nic strasznego, więc postaramy się pomóc takim osobom. W efekcie zebranie naszą propozycję zaakceptowało. Jak była już akceptacja takiego gremium, to zaczęliśmy współdziałać z urzędem gminy Lesznówola. Wspólnie z Małgorzatą Wiśniakowską, która w gminie odpowiada za współpracę z organizacjami pozarządowymi, realizowaliśmy partnerski projekt z Europejskiego Funduszu Społecznego. I... znaleźliśmy się w Wilczej Górze. Dobra współpraca nadal bardzo pomaga w funkcjonowaniu Pracowni.

OŚRODEK „DOM I PRACA”

– Ten ośrodek tutaj, ma nazwę Ośrodek „Dom i Praca”. Bo tu jest dom, który w przyszłości ma być domem mieszkalnym, i jest tu praca. To jest wzorowane na modelu, który sprawdził się w Europie Zachodniej, gdzie tworzy się małe placówki związane z lokalnym środowiskiem – mówi Maria Wroniszewska.

Osoby dotknięte autyzmem mają bardzo zróżnicowany zakres umiejętności. Jedni mają bardzo precyzyjne umiejętności manualne, inni – bardzo ograniczone. Jedni mają tak poważne zaburzenia sensoryczne, że np. nie dotkną gliny, podczas gdy inni świetnie w glinie pracują. Z tych powodów musieliśmy stworzyć tu kilka pracowni, które pracują pod kierownictwem pani Izabeli Broczkowskiej – kierownika Zakładu Aktywności Zawodowej.

– W pracowniach mamy 24 dorosłe osoby z autyzmem – mówi Izabela Broczkowska. – Część z nich posługuje się mową werbalną, czyli mówi tak jak my, część wymaga specjalnego sposobu komunikowania się za pomocą tablic, znaków, piktogramów. Dla nas najważniejsze jest to, by zrozumieć pracownika, dowiedzieć się,





***...wystarczy pójść na ulicę Jasną 36 A w Wilczej Górze.
Drzwi są zawsze szeroko otwarte.***

jak on nas odbiera, i dopiero wprowadzać umiejętności pracownicze.

Zatrudniamy kadrę instruktorów i trenerów pracy. W każdej pracowni jest instruktor odpowiedzialny za jakość wykonywanej pracy i za jakość rehabilitacji społecznej i zawodowej. Są to ludzie o wyjątkowych umiejętnościach, wyjątkowej cierpliwości, otwarci na innych, którzy bardzo sobie cenią pracę z osobami dotkniętymi autyzmem. Na swoje małe sukcesy pracują miesiącami.

Jako kierownik Zakładu zawsze powtarzam, że brama naszego domu jest szeroko otwarta. Raz do roku, na jesieni, organizujemy Drzwi Otwarte w Pracowni Rzeczy Różnych. Chodzimy z ulotkami do mieszkańców, sąsiadów i zapraszamy ich do siebie. Chcemy, aby przychodzili, oglądali co robimy, co potrafimy, co nam się w ciągu roku udało, aby odkrywali na nowo Pracownię Rzeczy Różnych. Zapraszamy też na warsztaty związane z autyzmem. Nasi goście mają możliwość uczestniczenia w zajęciach, mogą spróbować wcielić się w rolę człowieka z autyzmem, bo podczas zajęć, jeśli chcą wykonać np. jakąś bransoletkę, czy ulepić coś w pracowni ceramicznej, muszą postępować dokładnie tak, jak nasi współpra-

cownicy. Mają do komunikacji piktogramy, timer, muszą wykonywać polecenia instruktorów. To pozwala lepiej zrozumieć, jak działa Pracownia, ale też zrozumieć, jak inne osoby mogą widzieć nasz świat.

Mamy cztery pracownie. Jest pracownia stolarska, pracownia ceramiczna, z której wychodzą rzeczy najchętniej kupowane, jest pracownia rzemiosła artystycznego i rękodzieła, w której powstaje biżuteria, kartki świąteczne i okolicznościowe i wiele innych przedmiotów upominkowych, jest pracownia artykułów biurowych, w której powstają np. kalendarze, notesy itp.

Staramy się także zdobywać dodatkowe fundusze, bo te, które są przeznaczone na Zakład Aktywności Zawodowej, formalnie przypisane do osób, które tu mają pracę, nie są wystarczające, są dużo niższe niż w edukacji i nie udaje się związać końca z końcem. Dlatego zachęcamy do kontaktu z Pracownią Rzeczy Różnych. Wystarczy pójść na ulicę Jasną 36 A w Wilczej Górze. Drzwi są zawsze szeroko otwarte. Jak widać na zdjęciach, można tu znaleźć wiele ciekawych upominków i jednocześnie pomóc osobom z autyzmem – podopiecznym Fundacji SYNAPSIS. ■



fot. z archiwum prywatnego rodziny Liwińskich

Za kilka dni święta Bożego Narodzenia. Okazja do rodzinnych spotkań. W rodzinie Liwińskich z całą pewnością będą wspominali wielkie rodzinne spotkanie sprzed dwóch lat. A jest co wspominać. Autorzy rodzinnej kroniki – Jan Liwiński i Grzegorz Liwiński – zapisali to tak:

„W dniu 6 września 2014 roku odbył się zjazd rodziny Liwińskich z gałęzi Józefa Liwińskiego, syna Szymana. Inicjatorką i organizatorem zjazdu była Hanna Liwińska, żona zmarłego w 2010 roku Ryszarda (syna Mieczysława i Stanisławy, wnuka Józefa) matka trzech synów: Mariusza, Radosława i Kamila. Hanna pochodzi z Bobrowca, z szanowanej rodziny Marczaków...”



Zatelefonowaliśmy do pani sołtys Hanny Liwińskiej i umówiliśmy się na rozmowę o zjeździe. Żeby nie było wątpliwości, na wstępie informujemy, że na zjazd stawili się prawie stu Liwińskich różnej płci i wieku, więc trudno tego spotkania nie nazwać zjazdem.

Odziedziczyłam to po chrzestnym

Zanim opowiemy, co pani Hanna odziedziczyła po chrzestnym, musimy poinformować Czytelników, że okazja do zjazdu Liwińskich z gałęzi Józefa był niecodzienna. Dwaj panowie Liwińscy – Jan, prawnuk zmarłego w 1907 roku wójta Szymana Liwińskiego, i Grzegorz, praprawnuk Szymana, zadali sobie wielki trud i sporządzili kronikę rodzinną od 1907 roku.

Tę kronikę przestali do wszystkich członków wielkiej rodziny. We wstępie do opracowanego drzewa genealogicznego napisali:

„Drogie Kuzynki, Drodzy Kuzyni – potomkowie Szymana Liwińskiego, opracowaniem pod tytułem „Od Szymana Liwińskiego począwszy... o charakterze kroniki rodzinnej”, dzielimy się z Wami zgromadzoną wiedzą o miejscowości, z której pochodzimy, ale przede wszystkim o historii rodziny, do której należymy – spisanej w kontekście przemijającego czasu, koligacji i powiązań rodzinnych. Informacje pochodzą z istniejących dokumentów historyczno-administracyjnych, z pamięci żyjących członków rodziny, jako wiedzy przekazywanej przez dziadków, rodziców, krewnych a także z cmentarnych nagrobków”.

Ach, co to byt za zjazd...



– Wspierani – jak mówi pani Hanna – przez wspaniałego kuzyna Henryka Winterota, który wsiąkł w to, chodził, szukał, jeździł po parafiach, spisywał różne informacje, grzebał aż do 1867 roku, wykonali ogromną pracę i za tę pracę rodzina chciała im podziękować. Najlepiej zaproszeniem autorów opracowania na wspólny, rodzinny obiad.

Taka była propozycja wstępna. Potem była już bardziej sprecyzowana. – Haniu, a może byśmy to zrobili u ciebie? – Zaprosimy kilka osób...

– Proszę bardzo, nie ma problemu – odpowiedziałam. Potem kuzynka Zenia mówi: –To ja swoje dzieci zaproszę. – Moje też będą – odpowiedziałam. Jak zaczęliśmy liczyć, to uzbierała się spora grupa. Dziękczynny obiad zaczął radośnie zmierzać w kierunku wesela. Ponieważ zbliżały się wakacje, ustaliliśmy, że spotkamy się na początku września. Organizacja została oddana w moje ręce.



Ja w domu byłam tak wychowana, że u nas zawsze coś się odbywało. Mama nikogo nie wypuściła, żeby nie ugościć, tatuś zawsze mówił: „Zaraz, zaraz” – a do mamy – „Nie masz tam coś, zrób coś...”. I zawsze był dom pełen ludzi, i zawsze się ugościło, i ja u siebie w domu też tak robię.

Niechby to było najtańszym sposobem, ale zawsze lubiłam ugościć i zawsze lubiłam coś organizować. Podobno to po chrzestnym odziedziczyłam. Mamusia mówiła, że Stacho zawsze z byle czego zaraz zorganizował zabawę.

Organizacja zjazdu

– Jak po wakacjach obliczyliśmy, ilu gości na obiad dziękczynny za Kronikę dla Jana i Grzegorza przybędzie, zbliżyliśmy się do setki. A trzeba powiedzieć, że byli to Liwińscy tylko z jednej gałęzi. Ponieważ dziadek Józef miał trzy córki i dwóch synów Mietka i Józefa, i ta gałąź się rozrosła, to aby to wszystko organizacyjnie ogarnąć, ustaliliśmy, że z każdej gałązki ktoś odpowiada za swoich.

Ustaliliśmy datę obiadu na 6 września i wzięliśmy się do roboty. Wszystko miało się odbyć na podwórzu. Moje chłopaki zaczęli zbijać stoły i ławy. Wypożyczyliśmy krzesła. Zakupiliśmy naczynia jednorazowe.

Ustaliliśmy, że za te osoby i ich rodziny, które mamy ugościć, my płacimy składkę, a wszyscy inni, którzy chcą wziąć udział w obiedzie, składają się po 40 zł. To były naprawdę nieduże pieniądze.

Obliczyliśmy raz jeszcze i wyszło, że na obiad wpadnie 90 osób. No to można to już nazwać rodzinnym zjazdem.

Ja ugotowałam rosół i makaron. Pan Krzysztof, którego zaangażowaliśmy do zrobienia grilla, zajął się grillem. Z grilla były: karkóweczka, piersi z kurczaka, boczek, kiełbaska biała i wędzona i kaszaneczka. Co kto sobie życzył. Świetnie to było przygotowane.

Trochę wcześniej przyjechało kilka osób – kilka kuzynek, jak zwykle chętnych do pomocy. Poprzykrywałyśmy stoły obrusami. Były trzy czy cztery rodzaje sałatek. I chyba ze dwadzieścia parę ciast, bo było tak uzgodnione, że jak która gospodyni chce swoje wypieki przynieść, to może przynieść. Kupiliśmy trochę owoców, a jeszcze rano w tę sobotę kuzyn, który ma hurtownię owoców, przywiózł ich tyle, że było nie do przejedzenia. Było troszkę wódeczki, niektórzy panowie robią nalewki, więc przynieśli.

Ponieważ ja wszystko załatwiam z Panem Bogiem, powiedziałam: „Panie Boże, jeżeli Ty chcesz, żeby nam się ta impreza udała, to proszę Cię o pogodę”. I pogoda była wymarzona.

Byli tacy, którzy długo się nie widzieli, i tacy, którzy spotkali się pierwszy raz. Nawet moje wnuki też się dziwiły, że ci i ci to też nasza rodzina.

Zabawa była przednia. Wszyscy byli zachwyceni. Muzyka była z płyt, ale teraz bym to inaczej zorganizowała, bo poznałam takiego wspaniałego pana, który już dwa razy grał na pieczeniu ziemniaka i jest chętny przyjechać.

Na drugi dzień, w niedzielę, były poprawiny, żeby to wszystko wykończyć.

I takich zjazdów rodzinnych z okazji Świąt Państwu życzymy. ■

ODDECH ZIMY

Cisza. Zima przynosi ciszę. Nie ma chyba innej pory roku, do której bardziej pasowałby ten nagły brak dźwięków. Kiedy raniem dopiero budzi się życie i wieczorem, kiedy powoli ustaje, jest taka chwila, w której można usłyszeć oddech zimy. Świat zasnął. W czarno-białym śnie nie ma miejsca na kolory, a jedynie na odcienie. Żeby go pojąć, trzeba zrozumieć zalety i wybaczyć wady. Bywa, że czarno-biały obraz ma większą siłę wyrazu niż kolorowy.





*„...Pod śniegiem świat pochylony,
siwieje mrozu brew.
To pora zmierzchów czerwonych,
to pora czarnych drzew.
A wiatr w kominie śpi, bo ciemno.
A ja? Co ja? Co będzie ze mną?...”*

Jeszcze zima, Agnieszka Osiecka

Zielone skrzydła anioła



Gwiazdki, aniołki, misy i talerze – najpierw był szybki instruktaż, w jaki sposób nanosić na nie szkliwo, a potem... rozpoczęło się prawdziwe szaleństwo.

– Czy skrzydła anioła powinny być zielone, czy może bardziej tradycyjne – niebieskie?

– Turkusowa misa w połączeniu ze starym złotem to dobry wybór? A może stare srebro będzie lepsze?

– Gwiazdki mają być jasne, czy wręcz przeciwnie?

– Jak uzyskać intensywny czerwony?

– W jaki sposób zrobić przecierkę i czy już można zacząć?

– Kto ma kubek do płukania pędzli, albo kto ma czas, by go przynieść?

– Gdzie jest mieszadełko i która z dziewczyn wzięła turkusowe szkliwo?

– Proszę nie malować z dwóch stron, tylko ewentualnie rant. Bo jak będzie pomalowane od spodu, to się przyklei do pieca – przestrzegala fachowo pani Karolina Nowak, która okiem specjalisty kontrolowała powstające prace. – Jak przecieracie, to nie zdmuchujecie szkliwa...

– Czy zacząć od wzoru, czy od tła?

– Na jaki kolor pomalować gwiazdkę: na srebrno, a może granatowo?

– Czy ja się wyrobię, bo ten talerz jakiś duży?

W przedświątecznym nastroju uczestniczki Klubu Kobiet „Panie Przodem” szkliły ceramiczne naczynia. Kto nie próbował, ten nie wie, że nie jest to prosta sprawa. Potrzebna jest przede wszystkim ogromna wyobraźnia, bo nanoszone szkliwo jest czasem prawie niewidoczne i nie ma wiele wspólnego z intensywnym kolorem, jaki uzyska po wypaleniu.

Nad wspólnie zestawionymi stołami unosił się twórczy gwar. Były pyszne babeczki, upieczone osobiście przez koordynatorkę Klubu Marzenę Malinowską, był zapach kawy i losowanie upominkowej niespodzianki dla szczęśliwej uczestniczki zajęć.

– „U prząśniczki siedzą jak anioł dziewczynki, przędą sobie, przędą jedwabne niteczki...”

– zaczęła odważnie jedna z pań i choć do prząśniczek było paniom daleko, chętnie wcieliły się w rolę, bo atmosfera była tak przyjemna, że wszystko było możliwe.





Po trzech godzinach zajęć gładkie na początku przedmioty pokryły warstwy szkliwa. I choć efekt będzie widoczny dopiero po wypaleniu, to my już wiemy, że wszystkie będą wyjątkowe. To był po prostu fajny wieczór, podczas którego panie bawiły się jak dzieci. Takie wieczory są potrzebne.

Gratulacje dla pań z Klubu Kobiet „Panie Przodem”! ■



***...mamy wiele dowodów na to, że marzenia
ludzi upartych się spełniają.***

fot. z archiwum prywatnego Andrzeja Kruszewicza

Andrzej Kruszewicz, dyrektor warszawskiego ZOO, twierdzi, że na Podlasiu, skąd pochodzi, w wigilijną noc nikt nie sprawdza, czy zwierzęta mówią ludzkim głosem. Nawet ci, co wierzą, że tak jest, nie podsłuchują. Wieść bowiem niesie, że ten, kto to usłyszy, kolejnej wigilii nie dożyje. – Dlatego ja zawsze w tę noc wychodzę z ZOO przed północą – śmieje się pan Andrzej.



Dwadzieścia tysięcy pingwinów

Kiedy był dzieckiem, tak jak innym dzieciom raczkującym po podłodze rodzice często ograniczali mu przestrzeń, zamykając go w kojcu. Kiedy płakał, stawiali przed kojcem albo przed łóżeczkiem klatkę z kanarkiem i jak ręką odjął. Malec patrzył na ptaszka jak zahipnotyzowany. Mógł tak patrzeć i patrzeć godzinami.

W domu na Podlasiu były rybki w akwariu i w klatkach kanarki. Teraz, w domu państwa Kruszewiczów we Władysławowie, są także.

Ptaki z Andrzejem były zawsze. Kiedy dostał w prezencie pierwszą lornetkę, zdecydował, co będzie robił w przyszłości. Będzie obserwował ptaki, fotografował, badał ich zwyczaje, poznawał życie i najważniejsze – będzie je leczył. Dlatego po skończeniu podstawówki w Białymstoku przeniósł się do szkoły z internatem w Łomży. Było to pięcioletnie technikum weterynaryjne.

Trudne, ciekawe lata

Do pilnych uczniów Andrzej Kruszewicz nie należał. Nie, nie dlatego, że go szkoła nie interesowała. Ale było coś, co interesowa-

ło go znacznie bardziej. – Książki. „Szara wilczyca”, „Biały Kieł”, ale też przeczytałem „Mój skrzydlaty przyjaciel”, książkę o mornełu, bardzo rzadkim ptaku wędrownym.

– Zawsze zresztą otaczały go książki, miał do nich wielki szacunek, bo mama pracowała w zakładzie poligraficznym, gdzie drukowano książki, a ojciec był introligatorem i książki oprawiał. Kiedy poszedł do technikum i zamieszkał w internacie, poczuł się wolny.

W ramach tej wolności postanowił z biblioteki miejskiej korzystać do woli. I korzystał. Szkołę był tylko jeden. Nie miał gdzie książek czytać, bo póki w internacie zajmował wraz z trzema innymi kolegami, którzy inaczej wykorzystywali wolność. Dlatego wpadł na genialny pomysł. Kiedy koledzy szli na lekcje, Andrzej brał się za pochłanianie książek.



Panie bibliotekarki dwa razy w tygodniu wypożyczały mu po kilka książek i nadzieić się nie mogły jego zainteresowaniom i czytelniczej pasji. Książki przyrodnicze pochłaniał.

W drugiej klasie pobił rekord szkoły. Miał ponad dwieście sześćdziesiąt godzin nieobecności na zajęciach i sześć dwój. Rada pedagogiczna postanowiła go skreślić z listy uczniów. I pewnie wróciłby do Białegostoku, ale jak dziś wspomina – miał szczęście do mądrych ludzi.

– Pamiętam, wezwał mnie dyrektor technikum i powiedział: – Rada pedagogiczna podjęła decyzję, by skreślić cię z listy uczniów. Nim się pod tą decyzją podpiszę, chcę wiedzieć, co ty robiłeś, bo przecież nie opuszczałeś internatu. – Chodziłem do biblioteki, pożyczałem książki i czytałem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Czytałeś książki i chodziłeś

do biblioteki – powtórzył dyrektor z niedowierzaniem. – Jakie to książki? – Przyrodnicze – odpowiedziałem. Popatrzył na mnie, pokręcił głową i... poszedł do biblioteki, sprawdził, czy mówię prawdę, i mnie nie wyrzucił. Zostałem w technikum pod warunkiem, że na koniec roku nie będę miał ani jednej niedostatecznej oceny i nie będę opuszczał lekcji.

I wszystko układało się cudownie, aż do klasówki z chemii. Zostałem złapany na ściąganiu. Chemiczka zabrała mi pracę, odebrała ściągę, ale mnie z klasy nie wyrzuciła. Pochyliła się nad ściągawką, chwilę ją studiowała i wreszcie wezwała mnie do siebie. Oddała mi pracę, mówiąc: „Masz za ściągę czwórke, pisz dalej”.

Wszyscy na mnie spojrzeli, bo taki wypadek jeszcze się tu nie zdarzył. Chemiczka wyjaśniła uczniom, że skoro opracowałem taką ściągę, to znaczy, że rozumiałem zasady tablicy Mendelejewa. Ja miałem na ściągę piktogramami streszczoną tablicę Mendelejewa. Drugi raz w swoim życiu trafiłem na mądrego człowieka.

W piątej klasie technikum podpadłem internistcie. Miałem już dwie dwójki, zbliżał się koniec roku, a internista robił sprawdzian za sprawdzianem. Któregoś dnia zadał pytanie i się pomylił, co natychmiast, jako człowiek czytany, wychyciłem i głośno o tym powiedziałem. Nie było to dobre posunięcie. Internista spojrzął na mnie tak, że niczego dobrego nie mogłem się spodziewać. Na klasówce zadał nam dodatkowe pytania, wykraczające poza obowiązujący program. Ci, co pilnie się uczyli z robionych na lekcjach notatek, nie potrafili odpowiedzieć – a ja, na podstawie wiedzy książkowej, odpowiedziałem.

Dostałem od internisty dwie czwórki i usłyszałem, że poprzednie oceny były nieporozumieniem. Technikum weterynaryjne w Łomży wspominał bardzo mile.



Zaatakowany przez łosia

Świat przed Andrzejem Kruszewiczem otworzył się na studiach. Po drugim roku studiów na wydziale weterynarii SGGW w Warszawie pan Andrzej zaczął w ramach wakacyjnych praktyk pracować w klinice dla ptaków w Hanowerze. Szef kliniki wyczuł, że ten młody student z Polski, to pasjonat ornitologii. Sprawdzał go, dając coraz trudniejsze zadania, a w dowód zaufania, w weekendy klucze do kliniki, by pan Andrzej opiekował się hospitalizowanymi w klinice ptakami.

Współpraca układała się tak pomyślnie, że do rektora SGGW w kolejnych latach przychodziły z Niemiec listy z prośbą, by Andrzej Kruszewicz przyjeżdżał na kolejne praktyki do kliniki w Hanowerze. W tamtych czasach, czyli w początkach lat osiemdziesiątych, inaczej niż na zaproszenie za granicę z naszego kraju się nie jeździło.

Kiedy był w kraju, wyprawiał się z wybitnym polskim ornitologiem dr. Markiem Kellerem na akcje obrączkowania ptaków do lasów na Podlasiu. Miał szczęście i przyjemność pracować u boku człowieka, który był niekwestionowanym autorytetem w zakresie ekologii i ochrony ptaków. To dzięki Kellerowi pan Andrzej trafił do Lasów Sobiborskich, gdzie wraz z innymi studentami sekcji ornitologicznej prowadzili badania ptaków drapieżnych i bociana czarnego.

Tak wspomina jedną ze swoich wypraw do Sobiboru:

– Pojechaliśmy kiedyś z Krzysztofem Kosikiem (patrz „moja Lesznowola” nr 2, tekst „A mnie to bawi”) do Sobiboru badać ptaki. Krzysztof jak to Krzysztof, chodził swoimi ścieżkami po krzakach i znalazł w bagnie potężny zrzut (poroże) łosia. Zrzut ciężki, nasiąknięty wodą postanowił zabrać ze sobą do pociągu. Dotaszczył poroże do pociągu i położył na półce w wagonie. Pech chciał, że położył nade mną. – Krzysztof, to musi spaść – powiedziałem. Wstałem i zrzut na wszelki wypadek ułożyłem na półce po swoim. Ktoś trzasnął drzwiami i zrzut, jak przewidziałem, spadł, walnął mnie w głowę i straciłem przytomność.

Zamroczenie było wprawdzie krótkie, ale miałem po nim bezwiedne skurcze w łopatce. Musiałem pójść do lekarza

i dostałem długie zwolnienie. W rozpoznaniu mogłem przeczytać, że zrzut łosia, lądując na mojej czaszce, spowodował zespół depresyjny po urazie mózgu. Wystąpiłem do dziekana o zgodę na urlop. Dziekan zapytał: – Co ci się stało? – Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że dostałem w głowę rogiem łosia. – No i po co było tak blisko podchodzić – powiedział pan dziekan z troską w głosie. Na wydziale wkrótce wszyscy wiedzieli, że zostałem zaatakowany przez łosia.

Dostałem zgodę i pojechałem na kolejną wyprawę badawczą z dr. Kellerem. Dokąd? Jasne, że do Sobiboru. Badaliśmy ptaki bez przerwy. Dzień i noc.

Potem była studencka wyprawa do Indii. Badaliśmy choroby pszczoł i pasożyty u ptaków.

– Jeszcze podczas studiów Andrzej Kruszewicz rozpoczął pracę w Instytucie Ekologii Polskiej Akademii Nauk.

Potem był czteromiesięczny staż w Holandii, pierwsze publikacje naukowe i pierwsze wyjazdy na międzynarodowe konferencje. W 1991 roku obrona doktoratu na Akademii Rolniczej we Wrocławiu.

Potem była Norwegia. Stypendium w Oslo. Tam pan Andrzej prowadził, jak sam mówi, potężne terenowe badania naukowe na muchołówkach. Badania dotyczyły pasożytów krwi i ich wpływu na procesy lęgowe ptaków, śpiew i vitalność muchołówek. Przy okazji prowadzono badania polujących na nie drapieżników. Trzykrotny pobyt w Oslo zaowocował szeregiem poważnych, naukowych publikacji.

Po powrocie do kraju dr Kruszewicz leczył



ptaki, ale marzył mu się prawdziwy szpital dla dzikich ptaków.

Ptasi azyl

Mamy wiele dowodów na to, że marzenia ludzi upartych się spełniają. To marzenie też się spełniło. Ówczesny dyrektor warszawskiego ZOO, dr Jan Maciej Rembiszewski, łatwo dał się przekonać do pomysłu. Na terenie warszawskiego ogrodu zoologicznego pan Andrzej z pomocą architektów zaczął realizować swoje marzenie. Porzucił PAN i przeszedł do pracy w ZOO. Zaczął budować „Azyl dla ptaków”.

W 1998 roku powstał z prawdziwego zdarzenia ośrodek leczenia i rehabilitacji ptaków. Andrzej Kruszewicz został kierownikiem szpitala, który przyjmował na początku dwa tysiące ptasich pacjentów rocznie. Dziś przyjmuje pięć tysięcy.

Po jedenastu latach kierowania Azylem zostawił szpital swoim najzdolniejszym uczniom i został dyrektorem warszawskiego ZOO. Azyl zgodnie z dyrektywą europejską został wydzielony z terenu ZOO i jest szpitalem na swoim.

Na ratunek pingwinom

Gdybyśmy powiedzieli, że dr Kruszewicz zajmuje się ptakami tylko w Polsce, byłaby to nieprawda. W swoich wyprawach po świecie nie tylko podziwia przyrodę i bada ptaki, ale też uczestniczy w akcjach ratowania ptaków.

Było to szesnaście lat temu w Afryce, a dokładnie w Kapsztadzie. Do portu wpłynął tankowiec z uszkodzonym kadłubem. Zobaczono, że z tankowca wycieka mazut. Skierowano więc tankowiec do doku technicznego,

ale pewnie armator i kapitan tankowca doszli do wniosku, że taniej będzie statek zatopić niż remontować, i tankowiec zatonął.

Ponieważ takie zdarzenia w Kapsztadzie nie były nowością, a w wyniku wycieku mazutu ginęły pingwiny, ludzie byli na takie numery wyczuleni. Zauważyli, że na pingwinach pojawiły się plamki. Zawiadomiono władze i ogłoszono natychmiast akcję ratowania pingwinów. Szukano ludzi, którzy potrafią obchodzić się z pingwinami albo znają się na ich chorobach. Andrzej Kruszewicz spełniał oba te warunki i natychmiast się do akcji zgłosił.

Uzgodnił ze swoim przełożonym, dyrektorem ZOO Maciejem Rembiszewskim, że weźmie udział w tej akcji, ale jak pomyślimy, gdzie Kapsztad, a gdzie Warszawa, kiedy pomyślimy o formalnościach w naszych urzędach, to wydaje się, że sprawa jest nie do załatwienia.

Pierwsze kroki z pismem polecającym dyrektora ZOO skierował do brytyjskich linii lotniczych. Otrzymał zapewnienie, że dostanie za trzysta dolarów bilet powrotny. Tego samego dnia otrzymał afrykańską wizę, a wzruszona pani ambasador, która wizę załatwiła od ręki, sprawiła, że do wizy wpisano informację: „Leci ratować pingwiny, uprasza się o udzielenie wszelkiej pomocy”.

– Przez sześć tygodni ratowałem pingwiny. Dwaście tysięcy pingwinów wysmarowanych mazutem. Ratunek polegał na tym, że każdego pingwina należało złapać i wykapać. Wypłukać z jego piór ropę. Potem pingwiny musiały nabrać wodoodporności. Miały „zajęcia” z pływania. Były zmuszane do pływania, żeby dokładnie wyczyściły swoje pióra. Potem następowało sprawdzanie, czy już nabrały wodoodporności.

Trzeba pamiętać, że to towarzystwo trzeba było karmić. Dwaście tysięcy pingwinów otwierało dzioby, a każdy potrzebował przynajmniej pół kilo dużych śledzi. Kolejną czynnością było poszukiwanie zaobrączkowanych pingwinów, bo te z obrączkami taką akcją czyszczenia i adaptacji miały już w przeszłości. Miały więc doświadczenie – to zabrzmiało pewnie mało poważnie – jak się po leczeniu zachować.

Zamykało się takiego pingwina po przejściach z tymi, które pierwszy raz znalazły się w takiej sytuacji. On był pierwszy



***...dokarmianie ma być wsparciem
w ostrą, śnieżną zimę
a nie uzależnieniem.***

karmiony i przypominał sobie, jak należy się zachowywać. Inne pingwiny zaczynały go naśladować i uczyły się błyskawicznie.

Proszę sobie wyobrazić, jak bardzo ludzie byli zaangażowani w tę akcję. Dziesięć ton śledzi codziennie trzeba było zdobyć, zorganizować dla pingwinów baseny. Ludzie prywatnymi samochodami przywozili bez przerwy wysmarowane mazutem pingwiny. Horror. Schudłem sześć kilogramów przez sześć tygodni, ale było warto.

To była największa akcja ratowania dzikiej przyrody przez ludzi. Z dwudziestu tysięcy pingwinów nie udało się uratować siedmiuset.

Potem popłynąłem na Robben Island, wyspę, na której był więziony Nelson Mandela, bo tam gniazdowały pingwiny i im też był potrzebny ratunek. ■

Andrzej Kruszewicz jest wspaniałym gawędziarzem. Potrafi interesująco opowiadać i tak naprawdę moglibyśmy spokojnie 52 strony „mojej Lesznowoli” zapisać opowiadaniem o ptakach i wspomnieniami z wypraw. Moglibyśmy opowiedzieć o Hiszpanach, którzy każdego roku zabijają piętnaście milionów drożdów śpiewaków, które u nas są chronione, a tam traktowane jako szkodniki na plantacjach oliwek. O Francuzach, którzy zjadają każdego roku około dwóch milionów skowronków i trznadli ortolanów. Moglibyśmy, ale... będzie jeszcze okazja. Andrzej Kruszewicz napisał przecież trzydzieści książek i wiele przetłumaczył. Musimy jednak postawić w tym miejscu kropkę. Na koniec, ponieważ idzie zima i wszyscy będą pomagali ptakom, jedna rada od dr Kruszewicza.

– Dokarmiając ptaki, mamy przyjemność, a ptaki – wsparcie w trudnym czasie. Ale prawda jest taka, że od wielu lat przy karmnikach wzrasta liczba ptaków umierających z powodu infekcji. Nieczyszczony karmnik stanowi dla nich zagrożenie, bo zarażają się od siebie poprzez odchody. Jeśli jest mróz, to pół biedy, ale jeśli następuje odwilż, to nieczyszczony karmnik jest tykającą bombą.

Są i tacy, którzy dokarmiają ptaki cały rok. To nie jest dobre. Ptaki, zamiast karmić swoje małe tym, co znajdują, owadami, nasionkami – tym, co jest zdrowe, dobre, naturalne – karmią pokarmem, który jest najprostszy do zdobycia. Pamiętajmy więc, że dokarmianie ma być wsparciem w ostrą, śnieżną zimę, a nie uzależnieniem. Uzależnianie nikomu na zdrowie nie wychodzi.

– Pilot helikoptera w pogotowiu lotniczym nie wypala nafty na darmo – mówi Janusz Sługocki, który służbę wojskową porzucił dla helikopterów ratujących życie ludzi.



fot. z archiwum prywatnego Janusza Sługockiego

Fajnie poszto

Daliśmy się zwiść telewizji, która od czasu do czasu przynosi sensacyjną wiadomość, że w Polsce doszło do wypadku i poszkodowanych musiano przetransportować helikopterem do szpitala. Sądziliśmy, że pogotowie lotnicze od czasu do czasu ma zajęcia. Kiedy więc nasz rozmówca powiedział nam, że podczas dyżuru w pogotowiu lotniczym lata z jednego krańca Polski

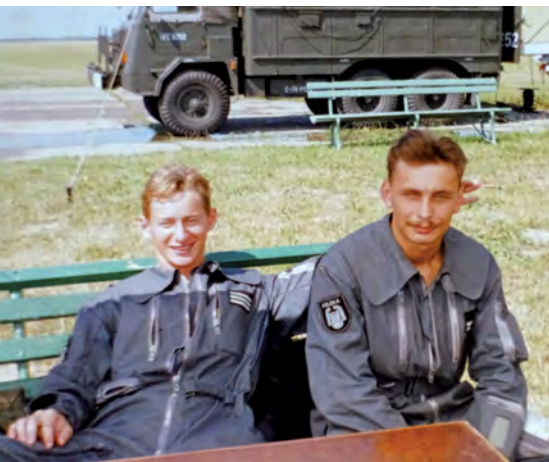
na drugi, że uwija się jak w ukropie, że postój maszyny ogranicza się często tylko do zabrania kolejnego pacjenta, nie mogliśmy uwierzyć.

To, że TOPR od czasu do czasu wylatuje po ofiary górskich wspinaczek, jest dość oczywiste. W pogotowiu lotniczym bywa zupełnie inaczej. Tu jest ruch ciągły. Wprawdzie bez jazdy na sygnale, ale za to na wysokich obrotach, z podniesioną

adrenaliną, ponieważ zawsze z tyłu głowy jest świadomość, że ktoś potrzebuje pomocy i każda minuta jest droga.

Pogotowie lotnicze

Kiedy pan Janusz na pewnym etapie swojej lotniczej kariery był instruktorem, zawsze wiedział, że jest odpowiedzialny za swoich podopiecznych i w związku z tym



podczas lotu z uczniami był zawsze, jak sam mówi, pod stuprocentowym napięciem.

– Nigdy nie wiadomo, co uczeń zrobi, a instruktor jest po to, by jeśli zrobi coś źle, natychmiast zareagować.

Kiedy wykonywałem pierwszy samodzielny lot na śmigłowcu Mi-2, byłem w kabinie sam. Nigdy nie zapomnę tego uczucia. Lecę sam, patrzę na ziemię podę mną i myślę: ale fajnie! ja cię kręcę! Patrzę na drążek sterowniczy, ruszam nim w jedną i drugą stronę, i nikt mi nie przeszkadza. Niezapomniane uczucie.

Do Lotniczego Pogotowia Ratunkowego pan Janusz trafił po zakończeniu służby wojskowej. Jako pilot instruktor śmigłowcowy, po odbyciu piętnastoletniej służby nabył prawa

emerytalne i stanął przed dylematem. Zostać w wojsku i robić jakąś wojskową karierę, czy odejść z wojska, przejść do cywila i rozejrzeć się za czymś innym. Wybrał opcję drugą. Pracę pilota śmigłowców w Lotniczym Pogotowiu Ratunkowym.

Na czym polega ta praca? Na czekanii i byciu w ciągłej gotowości...

– W wojsku były loty szkolne, treningowe i loty dyspozycyjne z ważnymi osobami. W Lotniczym Pogotowiu Ratunkowym jest inaczej. Oprócz obowiązkowego szkolenia są loty w konkretnym, ściśle określonym celu. Latamy, by udzielić pomocy poszkodowanym.

W kraju jest dwadzieścia baz Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, w których są dyżury. Bazą pana



Janusza jest Warszawa. Czasem udaje się też na dyżury do baz całodobowych w Krakowie i Wrocławiu. W bazie czeka na niego śmigłowiec. Pilot sprawdza sprzęt, przejmuje dyżur i czeka na wezwanie.

Wchodzi w rolę kierowcy wysokospecjalistycznej karetki pogotowia z załogą medyczną. Czekają na dyspozycję, dokąd i po co ma lecieć. Zabiera na pokład załogę i leci. Jak najszybciej i jak najbliżej miejsca zdarzenia.

Sprzęt, w jaki jest wyposażony śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, jest według oceny lekarzy i ratowników latających z panem Januszem sprzętem z najwyższej półki.

– Są takie dni, że człowiek nie ma czasu wysiąść z helikoptera – mówi pan Janusz. – Ledwie człowiek skończy tankować paliwo i już leci dalej. Bardzo często jest tak, że nie

tylko zabieramy poszkodowanych z miejsca wypadku, ale też odbieramy z karettek pogotowia, aby jak najszybciej ich dowieźć do szpitala.

Fajne lądowania

– Wypadek zdarzył się na stoku narciarskim o dość ostry nachyleniu. Młody chłopak uderzył w drzewo. Doznał bardzo poważnych urazów głowy. Urazy były takie, że ratownicy z Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, którzy do niego dotarli jako pierwsi, nie mogli – z uwagi na bezpieczeństwo chłopaka – ruszyć go z miejsca.

Dostałem dyspozycję i z zespołem ratunkowym ruszyliśmy w góry. Mimo krzywizny stoku wylądowałem na samym jego środku, zabraliśmy chłopaka do śmigłowca i odlecieliśmy do szpitala. To było bardzo trudne, ale i zarazem fajne

lądowanie – wspomina pan Janusz.

– „Fajne” lądowanie było też w górach podczas akcji, do której zostaliśmy wezwani także przez GOPR. Mieliśmy wykonywać tzw. techniki linowe, czyli na linie podczepić na noszach poszkodowanego zakleszczonego między drzewami w trudno dostępnym terenie. Ostatecznie wylądowałem na stosunkowo wąskiej półce skalnej. Za półką była tylko przepaść.

To są lądowania. Lądowanie na autostradzie, to tak jak lądowanie na boisku. Niezbyt skomplikowane.

Nie wszędzie można wylądować. Ale to nie ma wpływu na decyzję o locie. Lecimy zawsze, kiedy mamy wezwanie. Lądujemy najbliżej miejsca zdarzenia, żeby w jak najkrótszym czasie można było udzielić poszkodowanemu pomocy.

Kilka dni przed naszą rozmową, pan Janusz miał taki gorący dzień,

*...zawsze z tyłu głowy jest świadomość,
że ktoś potrzebuje pomocy
i każda minuta jest droga.*



podczas którego trudno wysiąść z helikoptera.

– Najpierw był Płock, potem z Płocka lot pod Łódź do pacjenta, który dostał zawału. W drodze powrotnej do Płocka, od dyspozytora centrum operacyjnego dostaliśmy zlecenie na transport pacjenta na trasie Włocławek – Warszawa. Ledwie usiedliśmy w Warszawie, a już czekała nas trasa Mława – Olsztyn.

To były loty podczas jednego dyżuru w dzień. A jak jest w nocy? Podobnie. Można przelatać całą noc.

Ale najgorsze są loty do wypadków z udziałem dzieci. To pewnie

potwierdzi każdy pilot. Kiedy lecimy do wypadków samochodowych, zabieramy z reguły najbardziej poszkodowanych, najciężej rannych. Gdy to są dzieci, to dotyka człowieka podwójnie. Trudno się otrząsnąć.

Jasne, że z czasem człowiek się uodparnia. Ale nigdy do tego stopnia, żeby tego w jakiś sposób nie przeżywać. Jednak emocje trzeba szybko odstawić na bok, bo trzeba bezpiecznie dowieźć poszkodowanego do szpitala, trzeba dbać o bezpieczeństwo zespołu ratowników i o sprzęt.

Wydawać by się mogło, że lotnicze pogotowie ma łatwiej, bo nie przepycha się przez uliczne korki, nie ma przed sobą kierowców, którzy nie chcą zjechać z drogi, słysząc karetkę jadącą na sygnale. Ale w powietrzu też czasem bywa tłoczno.

– Leciliśmy raz do szpitala z bardzo poparzonym w wypadku pacjentem. Zwykle latamy po prostej, by lecieć jak najkrótszą drogą. Zbliżaliśmy się do lądowiska, zgłosiłem gotowość do lądowania kontrolerowi, a on mi mówi, proszę odejść na jakiś tam punkt. Zapytałem: „Dlaczego? – Bo mamy Cesnę na dziesięciomilowej prostej do lądowania”. Zaniemówiłem, ale szybko odzyskałem głos i wytłumaczyłem panu, że wiozę poparzonego pacjenta, i że każda minuta jest ważna. Zapanowała chwilowa cisza, a potem usłyszałem: „To proszę lecieć po prostej”. Powiedzialem ze ściśniętym gardłem: „Dziękujemy w imieniu pacjenta” i rozpocząłem lądowanie.



...najgorsze są loty do wypadków z udziałem dzieci.

Bardzo często po akcji mówimy sobie: „Fajnie poszło”. I to jest piękne. Fajnie poszło.

Na ziemi

Co robi Janusz Sugocki, pilot helikoptera, gdy nie lata i nie ma dyżuru? Na pewno nie siedzi i nie czeka na kolejny dyżur. Biega. Bierze udział w zawodach. Jak mówi – w takich zwykłych. Głównie na dystansie dziesięć kilometrów, w półmaratonach i maratonach.

– Pierwszy maraton przebiegłem na czterdzieste urodziny. Uzyskałem czas poniżej czterech godzin i tak mnie to wciągnęło, że co roku zaliczam jeden maraton. Biegam coraz lepiej. Teraz w granicach 3 godzin 30 minut. Dla znajomych stałem się pewnego rodzaju autorytetem w sprawach biegania. Kiedy chcą wziąć udział w maratonie, zwracają się do mnie z prośbą, bym z nimi pobiegł. Ostatnio znajoma prosiła mnie, bym z nią wystartował i po-

mógł jej przełamać dwie godziny w półmaratonie. Podczas innego półmaratonu poprowadziłem jeszcze dwie startujące dziewczyny. Trochę to śmiesznie wyglądało, bo podczas biegu przemieszczałem się od jednej do drugiej, ale się udało. Ukończyły bieg.

W zeszłym roku namówiłem do startu moją małżonkę i też ukończyła półmaraton z całkiem niezłym wynikiem. W ubiegłym roku wziąłem udział w tzw. biegu katorżnika. Jest to bieg organizowany przez komandosów z Lublińca. Prawdę mówiąc, z biegiem ten bieg nie ma wiele wspólnego, bo to głównie brodenie w błocie, bagnie, rowach melioracyjnych i pokonywanie przeszkód.

Trasa biegu wynosiła około trzy-nastu kilometrów. Ja taki dystans pokonuję podczas spokojnego biegu w czasie godzina i piętnaście minut. Tamtą trasę pokonałem w dwie godziny i czterdzieści minut. Więc to daje pogląd o stopniu trudności tego biegu.



Interesuje mnie jeszcze strzelanie dynamiczne. Jest taka organizacja strzelecka International Practical Shooting Confederation, która organizuje zawody w strzelaniu do celów ruchomych i nieruchomych w ruchu. Takie normalne strzelectwo bojowe. Bardzo mnie to interesuje i zamierzam wyrobić sobie uprawnienia do startu w takich zawodach.

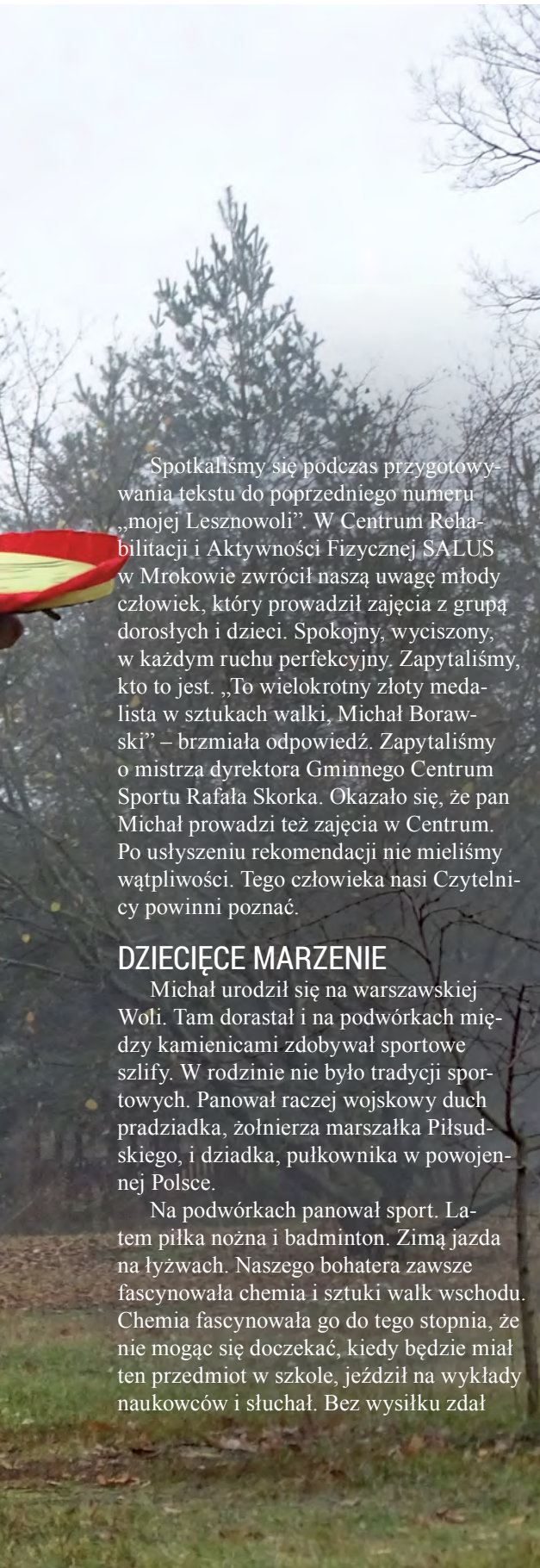
Znając pana Janusza, uprawnienia dostanie i zacznie doskonalić rękę i oko. Na miejscu spokojnie nie usiedzi. ■



ZA KRÓTKIE ŻYCIE...



„Nie osiągniesz umiejętności bez ćwiczeń” – mówi stare chińskie przysłowie. Michał Borawski potraktował je dosłownie. Co z tego wynikło? Opowiemy.



Spotkaliśmy się podczas przygotowywania tekstu do poprzedniego numeru „mojej Lesznówoli”. W Centrum Rehabilitacji i Aktywności Fizycznej SALUS w Mrokwie zwrócił naszą uwagę młody człowiek, który prowadził zajęcia z grupą dorosłych i dzieci. Spokojny, wyciszony, w każdym ruchu perfekcyjny. Zapytaliśmy, kto to jest. „To wielokrotny złoty medalista w sztukach walki, Michał Borawski” – brzmiała odpowiedź. Zapytaliśmy o mistrza dyrektora Gminnego Centrum Sportu Rafała Skorka. Okazało się, że pan Michał prowadzi też zajęcia w Centrum. Po usłyszeniu rekomendacji nie mieliśmy wątpliwości. Tego człowieka nasi Czytelnicy powinni poznać.

DZIECIĘCE MARZENIE

Michał urodził się na warszawskiej Woli. Tam dorastał i na podwórkach między kamienicami zdobywał sportowe szlify. W rodzinie nie było tradycji sportowych. Panował raczej wojskowy duch pradziadka, żołnierza marszałka Piłsudskiego, i dziadka, pułkownika w powojennej Polsce.

Na podwórkach panował sport. Latem piłka nożna i badminton. Zimą jazda na łyżwach. Naszego bohatera zawsze fascynowała chemia i sztuki walki wschodu. Chemia fascynowała go do tego stopnia, że nie mogąc się doczekać, kiedy będzie miał ten przedmiot w szkole, jeździł na wykłady naukowców i słuchał. Bez wysiłku zdał



więc do technikum chemicznego, ale tę pasję potem porzucił.

Oddał się pasji drugiej. Odkąd pamięta, biegał z patykami i wymachiwał nimi tak jak ninja, którego oglądał wiele razy na filmie. Był pod ogromnym wrażeniem sztuki walki wschodu. Kung fu, to było to, co chodziło po głowie Michała dotąd, aż zapisał się z kolegą na zajęcia.

Był rok 1989. Miał wtedy jedenaście lat. Mało kto da wiarę, że wstawał codziennie o czwartej rano, trenował do siódmej, potem szedł do szkoły, a po szkole znowu trenował. Na trening przychodził zawsze dwie godziny wcześniej i ćwiczył. Po sześć, siedem godzin dziennie.

Kiedy zaczął trenować, doszedł do wniosku, że to jest jego droga życiowa. Mógł nie pójść na lekcję do szkoły, ale nigdy nie mógł opuścić treningu. Nie zdarzyło się to ani razu przez wiele lat. Nawet jak był chory, z gorączką biegł na trening. Do swojego chińskiego mistrza Zhanga.

Z czasem zaczął jeździć na zawody i patrzył, patrzył, patrzył. Im pilniej ćwiczył i im dłużej patrzył, tym bardziej był przekonany, że nic innego robił nie będzie.

Któregoś dnia zdobył kasetę wideo, którą obejrzał tyle razy, że znał ją na pamięć, a mimo to nadal oglądał. Na kasecie było nagranie ćwiczącej sztuki walki chińskiej kadry narodowej.

– Oglądałem tę kasetę milion razy i milion razy podziwiałem jednego zawodnika. Ćwiczył na pierwszym planie. To był wielokrotny mistrz Chin Zhao Chang Jun. Marzyłem, by kiedyś w życiu tego człowieka spotkać.

Ćwiczyłem już jakieś dziewięć lat, startowałem w zawodach, zdobywałem medale i nadal oglądałem mistrza Zhao Chang Juna. I pewnego dnia – nie uwierzycie...

SZKOŁA MISTRZA ZHAO CHANG JUNA

Marzenie się spełniło. Jechałem do Chin, by uczyć się od człowieka, którego tyle lat podziwiałem, który nawet tam, w kolebce wu shu, był jednym z największych autorytetów. Jechałem do mojego mistrza i mojego nauczyciela. Razem jadaliśmy obiady, poznałem jego rodzinę. Byłem w szkole wu shu mistrza Zhao Chang Juna.

Tylko zawodnik wyciszony, skoncentrowany ma szansę wygrać, bo potrafi wyczuć intencje, przewidzieć ruch, zobaczyć więcej niż ktoś, kto jest w stresie czy w amoku walki.

Zajęcia w szkole mistrza odbywały się każdego dnia i trwały po siedem godzin. W sobotę był tylko jeden trening do południa. Na drugą połowę dnia i niedzielę mistrz zabierał ze sobą uczniów i pokazywał im Chiny.

– Byliśmy w klasztorze Shaolin, zwiedzaliśmy łaźnię Pierwszego Cesarza Chin, podziwialiśmy jego Terakotową Armię i braliśmy udział w tradycyjnej ceremonii ślubnej jednego z uczniów szkoły wu shu.

Pobudka była codziennie o szóstej rano. Po niej trening. Jednego dnia szybkościowy, drugiego, przemiennie siłowy, rozciąganie i bieganie. Ten szybkościowy składał się z wielu trzydziestometrowych odcinków, na których trzeba było wykonywać różne ćwiczenia. Po kilka serii. Trening trwał 45 minut.

Po rannym treningu była chwila przerwy, potem śniadanie, godzinny odpoczynek i godzinny trening w hali.

Hala była blaszana i w upał nagrzewała się do około 40 stopni. Po trzech godzinach treningu w tej saunie była godzina przerwy na obiad. Po niej następne trzy godziny zajęć. Pierwsze trzy godziny niczym od drugich się nie różniły. Te same zajęcia, ta sama intensywność, ten sam wysiłek. Chodziło o to, żeby człowiek tę treningową presję wytrzymał.

– W innej ze szkół, bo do Chin wyjeżdżałem chyba z dziesięć razy, treningi wypadły zimą. Na sali było tak zimno, że rozgrzewkę robiliśmy w kurtkach.

Podczas wyjazdów do Chin Michał nie tylko doskonalił swoje umiejętności zawodnicze, ale także uczęszczał na kursy trenerskie i sędziowskie. Dziś sędziuje na wielu zawodach. Przed Mistrzostwami Świata w Pekinie doskonalił swoje umiejętności u bardzo znanego w Chinach trenera Yuan Wen Qinga, gdzie pod okiem fachowców poprawiał technikę i rozgryzał istotę wu shu.

Ze zdziwieniem zauważył, że życie zawodników sztuk walki w Chinach składa się z treningu, odpoczynku, treningu, odpoczynku, startu w zawodach, treningu, odpoczynku, i tak w kółko. Jak w kieracie. Gdy zawodnik osiągnie określony pułap umiejętności, określoną



pozycję, odnosi sukcesy, to żyje bardzo dobrze. Tacy zawodnicy stają się trenerami i prowadzą zajęcia na całym świecie.

Ci, którzy są młodzi, a zdobywają medale i chcą studiować, za medale otrzymują punkty, które są przepustką na wyższe uczelnie. Taki zawodnik nie musi przystępować do egzaminów wstępnych. Jest mistrzem Chin, może studiować bez egzaminów.

DROGA SUKCESU

– Mój pierwszy poważny start na zawodach międzynarodowych był w 1994 roku w Niemczech. To były Otwarte Mistrzostwa Niemiec. Przywiozłem stamtąd trzy medale. Złoty, srebrny i brązowy. Bo na zawodach startuje się w różnych konkurencjach. W Chinach startowałem w sześciu, ośmiu konkurencjach. Bo jest oddzielnie np. konkurencja szabli, miecza, kija, oddzielnie styl małpy, halabardy. Stylów jest wiele.

Konkurencje dzielą się ponadto na sport i na tradycję. Medale zdobyte w Niemczech były za konkurencję z kijem – złoty, z szablą – srebrny, i za walkę sanda w rękawicach i pancerzach – brązowy.



Do walki potrzebny jest spokój. Jeśli górę biorą emocje negatywne, to szans na wygraną nie ma.

Ciekawe jest punktowanie konkurencji. Są trzy grupy sędziów i każdy daje noty za coś innego. Obserwuje i punktuje jeden tylko obszar. Na przykład jedni patrzą i oceniają technikę. Czy jest niepoprawnie ugięta noga w pozycji, albo jak w kopnięciu w wyskoku jest za nisko podniesiona, czy wystąpiła utrata równowagi w stojce, lub nieustana pozycja po skoku itp. Inni oceniają elementy akrobatyczne. Wykonanie skoków, czy skok był w pełnym obrocie, lądowanie idealnie na dwie nogi jednocześnie. Trzecia grupa, najbardziej wyszkolonych i doświadczonych sędziów, mających najwyższą wiedzę, ocenia wewnątrz zawodnika. Jego wzrok, koncentrację, choreografię, ducha walki. Jego charakter.

Ciekawostką jest to, że zawodnik może być super: zręczny, skoczny, wysportowany, świetny technicznie, ale jeśli grupa sędziów nie dostrzeże w nim ducha walki, nie zobaczy we wzroku należytej koncentracji, charakteru wojownika – nie wygra.

Dla przeciętnego widza występ stu Chińczyków będzie identyczny, a ci sędziowie z trzeciej grupy, tzw. grupy B, dostrzegą wielkie różnice. Zobaczą, z jakim uczuciem zawodnik wykonuje ruch, czy ten ruch wychodzi z wnętrza, czy jest tylko ruchem książkowym, poprawnym, ale bez czucia, bez serca.

Do walki potrzebny jest spokój. Jeśli u zawodnika górę biorą emocje negatywne, to szans na wygraną wielu nie ma. Złe emocje są przyczyną braku koncentracji, wpływają na sposób walki i na liczbę popełnianych błędów, bo zawodnik wielu rzeczy nie widzi. Nie dostrzega.

Tylko zawodnik wyciszony, skoncentrowany ma szansę wygrać, bo potrafi wyczuć intencje przeciwnika, przewidzieć kolejny ruch, zobaczyć więcej niż ktoś, kto jest w stresie czy w amoku walki.

W wu shu najważniejsza jest technika ciała. Wszystko – każdy ruch, siła, technika – wychodzi z pracy ciała. Z biodra, z rozluźnienia. Rozluźnienie będzie wtedy, gdy człowiek jest zrelaksowany, spokojny. Żeby mieć pełną świadomość i kontrolę, musi mieć pełen wewnętrzny luz. Wtedy może przekazać pełną energię i pełną siłę.

Wu shu to sport, w którym dąży się do doskonałości. Jest w nim tak wiele broni i stylów, nad którymi można pracować, że życia by zabrakło, aby to wszystko opanować. Można to robić całe życie i ciągle się będzie coś nowego pojawiało, nad czym trzeba pracować, co trzeba ćwiczyć, poprawiać, doskonalić.

Każdy, kto ćwiczy, wyobraża sobie ten ruch, który wykona. Wyobraźnia podpowiada mu, jak to zrobić najlepiej i chodzi o to, aby ktoś, kto na to patrzy, zobaczył



to dokładnie tak jak my. I o to w tej całej filozofii chodzi.

Michał Borawski prowadzi własną szkołę kung fu „Złoty Lew”. Wierzy głęboko, że ćwiczenia wschodnich sztuk walki pozytywnie wpływają na poprawę i utrzymanie nie tylko zdrowia fizycznego, ale i psychicznego. A Tai Chi, czyli sztuka ruchu, jest oprócz tego drogą do poszukiwania piękna i mądrości, a nawet prowadzi do poprawy jakości i estetyki życia. Oglądając to, co robi i jak robi Michał Borawski, wierzymy na słowo. ■

Czas przed świętami Bożego Narodzenia, świetna okazja, by chwilę poświęcić kolędom. Kolędom niezwykłym, bo nagranych na płycie przez chór Zespołu Szkół Publicznych w Mysiadle. Na okładce płyty – podziękowanie od dyrekcji szkoły oraz chóru pod dyrekcją pomysłodawczyni projektu i opiekunki chóru Iwony Manisty-Kutryś dla muzyków, którzy bezinteresownie, pod kierunkiem Jacka Tarkowskiego, zaangażowali się w projekt i pomogli w wydaniu płyty. Płyta ma tytuł „Dzieciątko niesie miłość” i zawiera jedenaście kolęd śpiewanych przez uczniów szkoły. Powstała pod honorowym patronatem wójta gminy Lesznowola, pani Marii Jolanty Batyckiej-Wąsik, a mieć ją może każdy, kto chce dołożyć swoją cegiełkę na rzecz szkoły. My dokładamy swoją, informując, że płytę można otrzymać w sekretariacie szkoły.



Pani dyrygent

Z nazwiskiem pani dyrygent spotkaliśmy się po raz pierwszy, kiedy pisaliśmy tekst o zespole Big Band dla Frajdy. Wtedy lider zespołu Tomasz Kłujśzo powiedział, że koniecznie powinniśmy szukając ciekawych ludzi, porozmawiać z Iwoną Manistą-Kutryś.

Pan Tomasz tak oto panią Iwonę przedstawił: „Ktoregoś z moich recitali, a grałem na gitarze, na klawiszach, na saksofonie i śpiewałem, wysłuchała Iwona Manista-Kutryś, wokalistka, kompozytorka, aktorka, pedagog. Znana postać życia artystycznego na naszym terenie. Spodobało się jej i mówi: – Musimy coś razem zrobić. – I zrobiliśmy”.

Pani Iwona wspomina to nieco inaczej, ale też miło. – Poznaliśmy się z Tomkiem w Lesznowskim Teatrze „Manufaktura Snów”, gdzie zobaczyłam go jako aktora.

Przyniosłam scenariusz amerykańskiego scenarzysty, osadzony w latach 80-tych, i zaproponowałam, by jego żona Ewa Kłujśzo zaadaptowała go dla nas i wyreżyserowała. Zrobiła to świetnie. Napisała sztukę „Adamm” opartą na współczesnych realiach, w której razem zagraliśmy.

O czym było przedstawienie? O życiu. O małżeństwie nie pierwszej świeżości, w którym ona była kobietą roztrzępaną, przewrażliwioną i narzekającą. On był pracoholikiem, którego – poza jedzeniem – interesował seks i sen.

Ze spektaklem „Adamm” byliśmy na Mazowieckim Przeglądzie Teatralnym „Totalnie Teatralnie” w Grodzisku Mazowieckim i otrzymaliśmy brązową kurtynę, a ja dostałam nagrodę za najlepszą rolę żeńską festiwalu.

Nie będziemy sztuki opowiadali, choć kilka dni temu jeden z mieszkańców Lesznowoli, patrząc, jak pani Iwona dyrygowała szkolnym chórem podczas występu z okazji Dnia Niepodległości, opowiedział nam o tym – jego zdaniem bardzo zabawnym, świetnym spektaklu. Chcemy tylko zwrócić uwagę na dwa fakty.

Pierwszy – i tego nam żal – że nie ma już Teatru „Manufaktura Snów” w Lesznowoli. Drugi – że pani Iwona nadal działa, a przykładem jest płyta z kolędami, a także nagrana przez nią solowa płyta „Godzina jeszcze młoda”. Ma jeszcze recitale, które gra najczęściej z pianistą i kompozytorem pięknej „Bossa novy” Piotrkim Boczkim.

Hej koleśda,



O swojej płycie mówi: – Płyta kosztowała mnie wiele pracy i czasu. Aby ją nagrać i wydać na portalu „Polak Potrafi” zbierałam środki finansowe. Pomogli przyjaciel, znajomi i „znajomi” z Facebooka oraz sponsorzy. Udało mi się namówić do współpracy wielu zdolnych artystów. Lesznowolską poetkę Ewę Jowik, której wiersz „*Taniec*” z moją muzyką i wykonaniem zdobył wyróżnienie na Ogólnopolskim Festiwalu im. Jonasza Kofty w Warszawie i gościł ponad półtora roku na „Łagodnej Liście Przebojów” internetowego Radia Aspekt. Wiele osób z Mysiadła głosowało na tę piosenkę, za co bardzo dziękuję.

Jest też bardzo subtelny tekst Wojciecha Zacharjasza „*W kąci*” z moją muzyką. Piosenka ta, podobnie jak „*Taniec*”, gościła na pierwszym miejscu owej radiowej Listy. Ponadto na płycie są teksty Oli Bacińskiej, Bartka Pateraka i moje.

Płytę promuje „*Godzina jeszcze młoda*” z tekstem Grażyny Orlińskiej i muzyką Marcina Nierubca. Ten duet tworzył piosenki dla Maryli Rodowicz, Michała Bajora, Hanny Banaszak, Zbigniewa Wodeckiego, Krzysztofa Kiljańskiego, Andrzeja Zauchy i wielu innych.

Zaprosiłam do współpracy wspaniałych muzyków pod kierunkiem Kuby Krukowskiego, którzy nadali płycie piękne brzmienie.

Piosenkę „*Jestem*” dostałam od Radka Figury, scenarzysty takich hitów filmowych jak „*Magda M.*” czy „*Szpilki na Giewoncie*”. Piosenkę bonusową „*Róża miłości*” wykonałam w duecie z Justyną Panfilewicz, laureatką Debiutów Opole 2015.

– Na tej płycie pani Iwona prezentuje się jako wokalistka, kompozytorka, a także autorka tekstów, choć jak sama mówi – poetką nie jest. – Teksty mi się zdarzają. Jak coś przeżyję, jak mnie coś poruszy, siadam i piszę teksty.

Do szkoły muzycznej nie rodzice Iwonę, ale Iwona mamę zaciągnęła za spódnicę. Chciała się uczyć grać. Najpierw był fortepian, potem śpiew, dziecięce zespoły muzyczne i taneczne.

Etapy zdobywania wiedzy muzycznej to kolejno: Państwowa Szkoła Muzyczna I Stopnia w Skierniewicach w klasie fortepianu. Szkoła Muzyczna II stopnia im. St. Moniuszki w Łodzi – śpiew w klasie prof. Elżbiety Ptak – ówczesnej solistki Teatru Muzycznego w Łodzi. Uniwersytet Łódzki – studia dzienne, wychowanie muzyczne/artystyczne. Akademia Muzyczna w Bydgoszczy – dyrygentura chóralska – studia podyplomowe.

Na końcu jednak zwyciężył swing, bossa nova, jazz. Piosenka aktorska i musicalowa. Był epizod z Teatrem Buffo Janusza Józefowicza i szkoła aktorska

...kolęda

Jana Machulskiego. Były własne recitale, ale przede wszystkim jest muzyka i śpiew. Dowodem na to niech będzie wspomniana płyta „*Godzina jeszcze młoda*”, która zawiera trzynaście utworów. Do dziesięciu muzykę skomponowała pani Iwona, do trzech napisała słowa, a śpiewa wszystkie.

„Dzielę się tym, co mam. Trochę melodii, słów, dźwięków i mam nadzieję trochę wzruszeń, poezji, ciepła i pogody ducha. Niech się Wam dobrze słucha” – napisała Iwona Manista-Kutryś na okładce płyty, a my możemy zapewnić, że słucha się dobrze.

W swoim repertuarze ma oprócz piosenek autorskich piosenki Agnieszki Osieckiej, Wojciecha Młynarskiego, Jeremiego Przybory, Jonasza Kofty i inne.

Na koncie doświadczenia aktorskiego można wymienić pracę z Adamem Hanuszkiewiczem w Teatrze Nowym („*Jablko Adama*”), z Janem Machulskim w spektaklu „*Wdowy*” Sławomira Mrożka, Piotrem Glińskim w spektaklu „*Rocznica*”, czy występ w Teatrze STU w Krakowie w Benefisie Jana Machulskiego.

Praca w szkole

Szkoła w Mysiadle wyrosła w pobliżu miejsca zamieszkania pani Iwony jak na zamówienie. „A jak już wyrosła, to dobrze byłoby coś z dziećmi robić”, pomyślała pani Iwona i zatrudniła się w szkole. Od pięciu lat pracuje w Zespole Szkół Publicznych w Mysiadle, a od czterech trzy razy w tygodniu prowadzi zajęcia szkolnego chóru.

– Początki nie były łatwe. Trzeba było dzieci wybrać, przyzwyczaić do pewnej formy zajęć i wiele nauczyć. Ale po czterech latach mam już komfort pracy. Jest też i satysfakcja, bo dzieciaki zdobywają nagrody. Mamy wielu laureatów pierwszych miejsc Gminnego Konkursu Piosenki oraz Piaseczyńskiego Festiwalu Piosenki Angielskiej.

W tym roku chciałybyśmy skupić się na koncertowaniu, bo to daje nam wszystkim najwięcej radości. Graliśmy spektakl „*Taki kraj*” dla lokalnej społeczności i mieliśmy wielką radość, bo widownia nie tylko dopisała, ale dzieciaki zostały nagrodzone gorącymi brawami.

Byliśmy z tym programem w Domu Opieki Społecznej „*Ostoja*”, a przed nami jeszcze w tym roku koncert w Pałacu w Radziejowicach.

Uczniowie klas Vd i VIa pod kierunkiem pani Joanny Anielskiej i Iwony Manisty-Kutryś przygotowali musical pt. „*Zagubiony czas*”. Teatr wystąpił na przeglądzie




fot. Anna Maria Zagórska



teatralnym w naszej gminie oraz otrzymał wyróżnienie Piaseczyńskiego Przeglądu Małych Form Teatralnych. Były też nagrody indywidualne dla wszystkich solistów tego przedstawienia za muzykalność, wrażliwość i piękne wykonania.

Chór szkolny prowadzony przez panią Iwonę ma na swoim koncie nagranie dwóch płyt. Jedna to zbiór pogodnych, radosnych piosenek pod wspólnym tytułem „*Śpiewaj z nami*”, a druga – to wspomniana na wstępie płyta z kolędami, która była pretekstem do naszego z Iwoną Manistą-Kutryś spotkania. ■



TAK PACHNĄ ŚWIĘTA

Kiedy na szybach mróz, a pod stopami śnieg, kiedy księżyc jest bardzo jasny, a koty szukają ciepłych kaloryferów lub pieca, tylko jeden zapach pasuje do takiej scenarii. Zapach cynamonu i goździków. Poukrywane w ciasteczkach, zanurzone w gorącej herbacie przyprawy sprawiają, że robi się cieplej i... bezpieczniej. Tak pachną święta.



HERBATA Z CYNAMONEM I GOŹDZIKAMI

Zaparz herbatę, taką, jaką lubisz najbardziej. Dodaj do niej plasterki pomarańczy, cytryny i imbiru. Dorzuć kilka goździków i szczyptę cynamonu. Posłodź miodem i wymieszaj. Pij, póki gorąca.



GRZANE WINO Z GOŹDZIKAMI, POMARAŃCZĄ I CYNAMONEM

SKŁADNIKI

butelka czerwonego wina (takiego, jakie lubisz najbardziej), 10-20 sztuk goździków, laska cynamonu (można też użyć cynamonu mielonego, ok. 1 łyżeczki), 100-150 g cukru, pomarańcza

Pomarańczę umyj dokładnie. Pokrój w krążki i każdy z nich podziel na cztery części. Do garnka wlej wino, wsyp cukier (jego ilość zależy od tego, jakie wino wolisz – bardziej wytrawne czy bardziej słodkie), pokrojone pomarańcze, goździki i laskę cynamonu. Podgrzewaj powoli przez 10-15 minut. Uważaj, aby nie zagotować wina. Rozlej do kubków. Śnieg za oknem i grzane wino to świetny zestaw.

Zanim rodzinne kuchnie wypełni zapach smażonego karpia, czerwonego barszczu i kapusty z grzybami, pozwólmy, by słodkavo-korzenna woń starych jak świat przypraw na chwilę narzuciła dominujący ton.

CYNAMONOWE CIASTECZKA

SKŁADNIKI

300 g mąki, 140 g brązowego cukru (trzciniowego), 100 g cukru pudru, 200 g miękkiego masła, 1 jajko, pół łyżeczki sody, 2 łyżeczki cynamonu, 1 łyżeczka ekstraktu z wanilii

Do miski przesyp cukier brązowy i cukier puder. Dodaj masło, jajko, wanilię i wszystko utrzyj na jednolitą masę. Mąkę wymieszaj z sodą i **cynamonem**. Przesyp do masy z masła i cukru. Wszystko razem zmiksuj na jednolitą masę. Uformuj kulę, owiń folią spożywczą i włóż do lodówki na 1-2 godziny, aby stało się twardsze. Oprósz mąką stołnicę, wyjmij ciasto z lodówki i rozwałkuj na grubość 0,5 cm. Za pomocą foremek wykrój ciasteczka. Przelóż na wyłożoną papierem do pieczenia blaszkę, tak aby między poszczególnymi ciasteczkami pozostały 2-centymetrowe przerwy. Piecz około 8 minut (aż ciasteczka się zarumienią) w piekarniku nagrzanym do 180 stopni. Wyjmij, a kiedy przestygną, oprósz dodatkowo cukrem pudrem.



TARTA Z JABŁKAMI I CYNAMONEM

SKŁADNIKI

Kruche ciasto: 25 dag mąki, 2 żółtka, 10 dag zimnego masła, ekstrakt waniliowy, 3 łyżki cukru, 1/3 łyżeczki proszku do pieczenia, 2 łyżki śmietany 18%, szczypta soli

Nadzienie: 3/4 kg jabłek, pół szklanki cukru, cynamon i sok z połowy cytryny

Umyj i obierz **jabłka**. Pokrój na ćwiartki, usuń gniazda nasienne, a następnie pokrój w cienkie plasterki. Skrop sokiem z cytryny, żeby nie ściemniały, posyp cukrem i **cynamonem**. Odstaw na bok. Żółtka rozbełtaj w miseczce. Trochę przelej do kubka, posłużą do posmarowania ciasta. Do żółtek, które zostały w miseczce, dodaj śmietanę i ekstrakt z wanilii.

Przygotuj **ciasto**. Na stolnicy przesiekaj mąkę z proszkiem do pieczenia. Dodaj cukier i szczyptę soli. Dodaj masło i wszystko posiekaj. Zrób dołek i wlej mieszaninę żółtek ze śmietaną. Wyrób ciasto na gładką masę. Ciasto rozwałkuj na grubość 3-4 mm i przenieś na wyłożoną papierem do pieczenia formę na tartę. Na środek wyłóż jabłka, pozostawiając z każdej strony po 8 cm wolnego brzegu. Brzegi lekko zawiń, robiąc zakładki, i posmaruj żółtkiem. Tartę wstaw do piekarnika nagrzanego do 200-220 stopni i piecz ok. 30 minut, aż ciasto się zarumieni. *Podawaj na zimno lub na gorąco z gałką waniliowych lodów.*

CYNAMONOWO-JABŁKOWE MUFFINKI

SKŁADNIKI

2 szklanki i 2 łyżki mąki pszennej, 1/2 szklanki cukru, 1/2 szklanki mleka, 2 łyżeczki proszku do pieczenia, 2 łyżeczki cynamonu, 5 łyżek roztopionego masła, 1 jajko, 2 jabłka, szczypta soli

Do miski przesyp mąkę, cukier, proszek do pieczenia, **cynamon** i sól. Wszystko wymieszaj. Na patelni rozpuść masło, tyle, by uzyskać 5 łyżek roztopionego. Do sypkich składników dodaj jajko, mleko i lekko przestudzone, roztopione masło. Wymieszaj, by powstała jednolita masa. **Jabłka** obierz i pokrój w kostkę. Dorzuć je do przygotowanej wcześniej masy. Na blaszce do muffinek umieść papilotki. Przelej do nich ciasto. Piecz w piekarniku rozgrzanym do 190 stopni przez 25-30 minut.



„Dla mnie to nic.

Nowe millenium, nowy wiek czy nowy rok.

Dla mnie to jeszcze kolejny dzień, kolejna noc.

Słońce, księżyc, gwiazdy pozostaną te same.”

Dalajlama XIV

